Rok IV. Czerwiec, 1919. Nr. 6.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

TREŚĆ:

CENA NUMERU PODWÓJNEGO 5 KORON (3 MARKI).
PRENUMERATA ROCZNA 30 KORON (18 MAREK).

Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych i administracyjnych,

Czerwiec Rok 1919 **ROK POLSKI** Rok IV. Nr. 6.

Sprawa konstytucyi polskiej.

Sejm obecny, pierwszy Sejm nowej Polski, wybrany został przedewszystkiem dla nadania państwu prawnej podstawy bytu, dla uchwalenia polskiej konstytucyi państwowej.

O ile dotąd do wywiązania się z tego zadania Sejm zbliżyć się nie mógł, wolno zaryzykować twierdzenie, że zająć się niem będzie niebawem musiał.

Odpadła już iluzya, ze projekt konstytucyi może być Sejmowi przedłożony przez rząd, obecny rząd. Projekt tak obszerny powinien był co prawda wyjść od rządu. Wnosząc go, rząd ułatwiłby niezmiernie sprawę Sejmowi i istniejącym w jego łonie drażliwościom partyjnym. Pomimo to rząd takiego projektu wnieść nie mógł, z tego choćby prostego powodu, iż jest on pozbawiony elementarnej właściwości jakiegokolwiek bądź rządu, nie posiada mianowicie żadnego uchwytnego poglądu i programu w istotnych sprawach polityki państwowej. Przyciśnięty do muru, w nieobecności premiera, uczynił tedy rząd wszystko, na co się mógł w tych warunkach zdobyć. Skorzystał z oferty jednego z literatów, który był właśnie opracował analogiczny projekt dla ludowej grupy Thugutowców, zamówił u niego drugi projekt „podstawy ładu Rzeczypospolitej polskiej" i oto obydwa te projekty, powtarzające całymi ustępami te same, identyczne zwroty i okresy, znalazły się w Izbie sejmowej z początkiem sesyi majowej. Byłoby z pewnością lepiej, gdyby rząd zastanowił się głębiej nad trudnością zadania i oświadczył po prostu, iż podjąć się go nie jest w stanie. Nie tylko dlatego, że pragnąc zadowolić wszystkie stronnictwa Sejmu, spotkał się z rzadko spotykaną u nich solidarnością wszystkich w potępieniu wniesionego projektu. Gorzej, iż wniesiona przezeń „dekla-

racya konstytucyjna“, podobnie zresztą jak i bliźniacza jej siostra, „podstawa ładu“, okazała się pracą zawstydzająco lichą, ośmieszającą wobec Sejmu i kraju (oby tylko nie dostała się dalej!) autorytet czynnika, który za nią stanął. Pod formą przepięknej i na swój wiek znakomitej konstytucyi 3-go maja podaną została treść tak nikła, fragmentaryczna, przesycona morałem niezawsze moralnym, mglista, wieloznaczna, a miejscami nawet niedorzeczna lub wprost humorystyczna, że naprawdę, gdybyśmy żyli w czasach weselszych, nie znalazłby się z pewnością nikt, któryby wobec niej nie powiedział sobie horacyuszowskiego „difficile est satiram non scribere“.

Sejm pozbył się tedy ostatecznie złudzenia, że w spełnieniu swego głównego zadania znajdzie ułatwienie i pomoc ze strony utrzymywanego dalej na fali, wobec braku zwartej większości sejmowej, obecnego rządu.

Z drugiej strony takżei obecne wewnętrzne stosunki polityczne w Izbie sejmowej nie mogą już chyba trwać długo. Sejm uzupełnia się powoli przedstawicielami wszystkich dzielnic i ziem polskich, temsamem zaś staje się sam w coraz wyższym stopniu zdolnym do pracy. Niebywała i gorsząca taktyka jednego z najliczniejszych klubów ludowych, który głuchy dotąd i ślepy na naistotniejsze zadania polityki państwowej i przejęty naprawdę jedną tylko myślą radykalnej refomy rolnej, uniemożliwiał tak długo dzieło wewnętrznego skonsolidowania się Sejmu, nie może trwać długo bez pęknięcia zbyt naciągniętej struny. Jeżeli się okaże, że taktyka ta opiera się na złym rachunku i nie prowadzi do zamierzonego celu, z drugiej zaś strony, że nie przyczynia się ona wcale do ugruntowania wpływów i stanowiska tego klubu w kraju, trzeźwy zmysł właściwego jego kierownika musi wziąć górę nad dotychczasowem, ubolewania godnem zacietrzewieniem.

Ażeby wszakże po pokonaniu dotychczasowych trudności praca Sejmu nad konstytucyą mogła wejść w zdecydowane stadyum, ażeby nie została sprowadzoną na manowce nowych opóźnień i komplikacyi, winna sobie jako cel określić jasno: uchwalenie ustawy konstytucyjnej.

Minęła już z końcem przedostatniego, XVIII-go stulecia pora romantyzmu konstytucyjnego. Mimo całego idealizmu, ogarniającego naszą duszę narodową na widok odradzającego się do nowego bytu państwa polskiego, nie mamy powodu przy układaniu

konstytucyi ani uciekać się do stylu staropolskiego, z końca XVIII-go wieku, ani też powtarzać za pierwszą konstytucyą francuską, iż n. p. Rzeczpospolita „czci sędziwość", „ceni pracę", „chroni niewinność i wiek dziecięcy". Zasady moralne, te i inne, które w owych czasach mogły mieć swe uzasadnienie i miejsce w konstytucyach pisanych, mają i dzisiaj swą nieśmiertelną wartość, o ile tkwią istotnie w głębi duszy naszej. Przelewanie ich wszelako na papier „deklaracyi konstytucyjnej", podobnie jak to uczynił rząd p. Wojciechowskiego, dodawanie do nich chociażby najgłębszych i najszczerzej odczutych motywów i idei moralnych, które żyją w piersi współczesnego Polaka, byłoby rzeczą i nie na czasie i nie na miejscu. Prawo i państwo, jeśli mają mieć trwałość, muszą zawsze być budowane na idei i moralności. Rzeczą istotną wszakże nie jest, ażeby owe ideje i zasady wyrażone były w ustawie osobno, wzniosłemi słowami, ale ażeby one były rzeczywiście wcielone w pozytywne urządzenia prawne i państwowe, ażeby dzięki temu mogły naprawdę w całej pełni żyć i rozwijać się na gruncie ogólnego ustroju państwowego. Mądra i jasna, odpowiadająca istotnym potrzebom i właściwościom narodu budowa tego ustroju, trzeźwe i umiejętne określenie granic, sposobu i kierunków działania władzy państwowej — oto właściwe, nawskróś praktyczne i chyba dostatecznie wielkie zadanie każdej, także naszej, ustawy konstytucyjnej. Raczej trwożyć się i niepokoić, czy Sejm obecny sprosta tak olbrzymiemu i pełnemu odpowiedzialności brzemieniu, aniżeli dążyć do brania na się zadań jeszcze szerszych, trudniejszych i mniej określonych, szukających sformułowania nie tyle w kuźni kompromisu politycznego, co raczej w natchnionej duszy wielkich, genialnych jednostek, zdolnych narodom i ludzkości nakreślać nowe, świetlane drogi ideału!

Ustawa konstytucyjna polska winna tedy wzorem wszystkich konstytucyi obowiązujących współcześnie poprzestać na ustanowieniu podstawowych norm prawnych o ustroju państwa i sposobie tworzenia i działania zasadniczych organów władzy państwowej, o terytoryum państwa i o granicach władzy państwa w stosunku do obywateli i ich publiczno-prawnych związków. To są główne materye, dla których unormowania powołana jest obecna Izba sejmowa.

Jest rzeczą oczywistą, że nie we wszystkich tych kwestyach posiada Sejm w obecnej chwili równą swobodę decyzyi.

Sprawa granic wschodnich jest zawsze jeszcze kwestyą

otwartą. Od jej rozstrzygnięcia zależy nietylko sprawa rozciągłości terytoryum państwowego, ale poniekąd także i sprawa autonomii i samorządu prowincyonalnego poszczególnych jego części, a nawet i sprawa takiego lub odmiennego ukształtowania naczelnych organów ustroju państwowego. Mając na oku stosunki rdzennie polskich części obszaru państwowego, Sejm powinien pracować nad wzniesieniem budowy państwowej na tej fundamentalnej podstawie, winien jednak zarazem być przygotowanym do takich modyfikacyi tej budowy, jakich będzie wymagało ostateczne ustalenie granic terytoryum państwowego.

Z drugiej strony swoboda decyzyi sejmowej ograniczona jest tem, iż pewne sprawy zasadniczego ustroju państwowego wydają się być już przesądzonemi.

Przesądzoną wydaje się przedewszystkiem sprawa republikańskiego ustroju państwa polskiego oraz sprawa odpowiedzialności gabinetu ministeryalnego wobec Sejmu. Zapewne, zbyt skwapliwie postąpił Sejm, ogłaszając się ciałem suwerennem, gdyż w Rzeczypospolitej nie ciało reprezentacyjne, ale cały naród jest suwerenem. Nie tyle jednak owa początkowa uchwała Sejmu, zawierająca także formułę parlamentarnej odpowiedzialności ministrów, co raczej powszechna opinia przesądziła jeszcze przed wyborem Sejmu sprawę ustroju państwowego na rzecz Rzeczypospolitej parlamentarnej. Rzecz zastanawiająca, ale za ustrojem monarchicznym nie podniósł się w Polsce *de facto* ani jeden głos. Fatalny kierunek polityczny stronnictw konserwatywnych w Polsce w ciągu wielkiej wojny doprowadził w rezultacie nie tylko do zupełnego zdyskredytowania tych stronnictw, ale zarazem do gruntownego zaprzepaszczenia idei politycznych, związanych z zasadą przodownictwa społecznego warstwy, na której się te stronnictwa opierały przed wojną. Austro- i germano-filizm Rady regencyjnej pogrzebał w Polsce ideę monarchii podobnie, jak dyktatura rządów P. P. S. w zimowych miesiącach ubiegłego roku narzuciła opinii publicznej w kraju konieczność parlamentarnej odpowiedzialności gabinetu.

Skutkiem tych przyczyn weszła sprawa ustroju państwowego Polski na tory zbliżające ją do najwięcej obecnie rozpowszechnionego na świecie typu rządów republikańsko-parlamentarnych. Na tych torach stoi ona i obecnie i nie sądzę, ażeby Sejm zdołał ją przesunąć w innym kierunku.

Z istotnych zagadnień konstytucyjnych, które przez Sejm

mogą być przesądzone w tę lub ową stronę, wymienić należy tedy niemal tylko następujące kwestye: Czy głowa państwa ma być wybieralną przez ciało ustawodawcze, czy też przez ogół obywateli? Czy ciało ustawodawcze ma być jedno — czy dwuizbowem? Czy organizacya władzy wykonawczej polegać ma na zasadzie centralistycznej, czy też na zasadzie mniej lub dalej idącej decentralizacyi?

Nie można jeszcze w obecnej chwili przewidzieć, jakie stanowisko zajmie Sejm w owych wszystkich, tak niezmiernie doniosłych zagadnieniach.

Skoro weszliśmy na tory, zbliżające nasz ustrój do ustroju rzeczypospolitej parlamentarnej, wydawałoby się, że i sprawa wyboru głowy państwa winna być unormowaną na sposób, przyjęty między innymi n. p. we Francyi. Za takiem rozstrzygnięciem sprawy przemawiałby wzgląd ogólny, nakazujący ile możności ograniczać liczbę konstytucyjnych eksperymentów, do których bądź co bądź należy sposób wyboru prezydenta na sposób amerykański w systemie nie prezydyalnym, ale parlamentarnym. Dalej wzgląd na to, iż wynik wyborów ogólnych nie daje w stosunkach naszych rękojmi, iż objektywnie będzie mógł być lepszym, aniżeli wynik wyboru dokonanego przez ciało ustawodawcze; wzgląd na ujemne skutki wstrząsania kraju jeszcze jedną akcyą wyborczą, która w tym wypadku, skoro w grę wchodzić będzie osoba kandydata na naczelne stanowisko w państwie, nie zdoła z pewnością utrzymać się w granicach politycznego umiarkowania; nakoniec wzgląd na niebezpieczeństwo mieszania się do tej akcyi wyborczej (podobnie jak i do elekcyi królów w naszej przeszłości, bo instytucye te obie mimowoli się przypominają) czynników obcej polityki zagranicznej. Za wyborem głowy państwa przez ogół obywateli na sposób amerykański przemawia natomiast motyw, ażeby czynnikowi temu, uniezależnionemu od ciała ustawodawczego, dać siłę i autorytet, pozwalający mu na rzeczywiste sterowanie losami państwa. Jest to niewątpliwie motyw bardzo poważny, pytanie tylko, czy wobec obaw, iż wybory ogólne mogą w naszych warunkach dać zawsze wynik fantastyczny, najmniej obliczalny, nie należałoby właściwego punktu ciężkości władzy wykonawczej przenieść, podobnie jak we wszystkich państwach (nawet monarchiach!) parlamentarnych, nie na instytucyę prezydenta, wzgl. naczelnika państwa, ale na osobę prezydenta ministrów, którego też stosownie do tego na-

leżałoby uposażyć w daleko idącą władzę? Wydaje się, iż z większem bezpieczeństwem można będzie pozostawić ster państwa w ręku człowieka, który kierując większością parlamentarną złoży dowody uzdolnienia i charakteru politycznego, aniżeli zdawać go na nieobliczalny przy naszym temperamencie rezultat ogólnych wyborów.

Tak czy owak jest rzeczą niewątpliwą, iż w ręku kierownika państwa, jakąkolwiek drogą wybór jego miałby dochodzić do skutku, nie może żadną miarą być w naszych warunkach pozostawiona możność osobistego dowodzenia siłą zbrojną państwową w czasie wojny. Oto, co w tym przedmiocie pisze znakomity autor *„Eléments de droit constit. fr. et comparé“*, prof. A. Esmein.:

„Podług art. 3 naszej konstytucyi z 25 lutego 1875 prezydent Rzeczypospolitej „rozporządza siłą zbrojną“. Jest to oczywiście norma naturalna i konieczna, gdyż rozporządzanie siłą zbrojną celem utrzymania porządku i spokoju wewnątrz kraju oraz zabezpieczenia jego obrony odzewnątrz jest istotną atrybucyą władzy wykonawczej. W niej leży przecie najdawniejsza i najbardziej kardynalna funkcya tej władzy. Ale, czy do prezydenta należy temsamem prawo do wydawania rozkazów, które skierowywują siłę zbrojną na ten lub ów punkt terytoryum narodowego lub zagranicznego, jest przeciwnie zagadnieniem niezmiernie delikatnem. Czyż kierownik władzy wykonawczej miałby mieć prawo dowodzenia wojskami osobiście, t. j. stanięcia na ich czele w roli szefa wojskowego, kombinowania i decydowania o ich poruszeniach strategicznych? Przyznać mu to prawo wydaje się krokiem pełnym niebezpieczeństw. Któż w istocie da rękojmię, iż szef władzy wykonawczej będzie miał wiadomości i zdolności niezbędne do użycia wojsk w sposób pożyteczny w kampanii, na polu bitwy? Nawet gdyby je posiadał, czyż jego miejsce w czasie wojny nie jest wewnątrz kraju, w siedzibie rządu, ze względu na potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa państwu w czasie tego rodzaju przesilenia narodowego? Konstytucye monarchiczne nie umiały odjąć tej prerogatywy szefowi państwa, gdyż w dynastyach królewskich pokutuje jeszcze stara tradycya, iż król jest z natury rzeczy predestynowany do spraw orężnych i otrzymuje w tym celu istotnie odpowiednie wychowanie. Tymczasem nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby w naszych konstytucyach republikańskich przyjąć normę mądrą i roztropną, iż szef władzy wykonawczej nie może nigdy osobiście dowodzić wojskami. Zaraz taki jest usprawiedliwiony

bezwzględnie, jeżeli idzie o człowieka nie będącego wojskowym; wówczas jednak jest on prawie bezużyteczny, ponieważ człowiek taki niemoże przecie nigdy mieć pretensyi i odwagi do obejmowania dowództwa nad armią. Jest on odwrotnie absolutnie pożytecznym na wypadek dostania się władzy wykonawczej w ręce oficera, którego zdolności wojskowe okazaćby się mogły ograniczone, a któryby niemniej mógł dzięki prerogatywom swego urzędu dostać także prawo naczelnego dowództwa sił zbrojnych kraju... Poza najsilniejszymi argumentami, przytoczonymi w tej mierze w dyskusyi konstytucyjnej 1875 r., można dorzucić wzgląd, zaczerpnięty z istoty rządu parlamentarnego. Rzeczywiste dowództwo armią tworzy cały szereg aktów wybitnie osobistych ze strony tego, kto je sprawuje i prezydent Rzeczypospolitej nie mógłby ich spełnić, związany potrzebą pokrycia ministeryalnego swoich zarządzeń".

W ścisłym związku ze sprawą powoływania na urząd głowy państwa pozostaje sprawa jedno- względnie dwu- izbowości ciała ustawodawczego. Ażeby mianowicie można było wyboru prezydenta wzgl. naczelnika Rzeczypospolitej dokonywać nie drogą plebiscytu, ale drogą głosowania ciała ustawodawczego, potrzeba, ażeby ciało to mogło dla tego celu utworzyć podobnie jak we Francyi „zgromadzenie narodowe", utworzone z dwóch Izb prawodawczych.

Jeżelibyśmy jednak pominęli nawet tę stronę sprawy, jeżelibyśmy zgodzili się, że za wyborem głowy państwa drogą plebiscytu przemawiają względy, które nie mogą a limine być wyłączone z dyskusyi, musimy niemniej podnieść to z całym naciskiem, że za jednoizbowością Sejmu nie dadzą się skądinąd przytoczyć żadne rzeczowe motywy. Przeciwnicy dwuizbowości nie mogą przecież twierdzić, że ogół nasz, wyszedłszy z przeszło stuletniej niewoli, posiada wyższą kulturę polityczną, aniżeli wszystkie demokracye zachodniego świata, które jednak zachowały do dzisiaj system dwuizbowy. Nie mogą także zaprzeczać, że ani Serbia ani Grecya, ani prowincyonalne kreacye byłej Austryi czy byłego cesarstwa niemieckiego, ani sejmiki poszczególnych kantonów szwajcarskich czy też poszczególnych stanów Dominium kanadyjskiego nie mogą być wzorem dla ciała ustawodawczego państwa polskiego, o ile ono samo nie zechce się odrazu zdegradować do roli nawpół cywilizowanego państewka o pokroju bałkańskim.

Dwuizbowość wytworzyła się w Anglii drogą samorodnego

procesu historycznego. Stan duchowny mianowicie, który aż do początku XIV wieku na równi z trzema innymi stanami, jakkolwiek oddzielnie od nich, brał udział w uchwalaniu królewskich „subsidiów“, usunął się był wówczas od równoczesnego obradowania z trzema stanami innymi i ograniczył się do własnych „*Convocationes*“, na których, obok załatwiania spraw ściśle kościelnych, wotował odtąd daniny na rzecz Korony i państwa. Część tego kleru, piastująca najwyższe godności kościelne, biskupi i prałaci, którzy jeszcze za czasów istnienia samego tylko „*Magnum Concilium*“ zasiadali w tej najwyższej Radzie królewskiej bądź z tytułu swej wysokiej godności kościelnej, bądź z powodu węzła lennego, łączącego ich bezpośrednio z Koroną, nie wycofała się i teraz, z początkiem XIV wieku, od udziału w obradach całego parlamentu, a tylko pozostając już odtąd w szczupłej liczbie, ażeby mogła obradować oddzielnie, przyłączyła się do stanu świeckich baronów. Liczba czterech ciał stanowych zredukowała się tym sposobem do trzech, a gdy niebawem z powodu coraz ściślejszego związku, jaki zachodził pomiędzy wybieralnymi reprentantami stanu rycerskiego i równie wybieralnymi przedstawicielami miast, nastąpiło połączenie obu tych ostatnich ciał do wspólnych obrad, odtąd, od r. 1332 ustalił się trwały i wyraźny podział parlamentu angielskiego na dwie Izby: Izbę lordów duchownych i świeckich, zasiadających w parlamencie we własnem imieniu („*by themselves*“) i Izbę gmin, złożoną z wybieralnych posłów. Że mógł ten proces historyczny doprowadzić do odmiennego wyniku, okazuje przykład Szkocyi, w której z pierwotnych czterech stanów wytworzyło się odrazu ciało jednoizbowe i przykład Szwecyi, w której oddzielne zgromadzenia czterech stanów przetrwały aż do czasu dwuizbowego parlamentu nowożytnego, utworzonego w XIX stuleciu.

Mimo, iż ukonstytuowanie się parlamentu dwuizbowego w Anglii dokonało się drogą niewyrozumowanego procesu historycznego, wynik tego procesu, wypróbowany na gruncie angielskim w ciągu pięciu stuleci, okazał się tak znakomitym w swych praktycznych skutkach, tak istotnie zrosłym z ogólną konstrukcyą systemu reprezentacyjnego, iż w ciągu XIX stulecia zdołał się rozpowszechnić we wszystkich mocarstwach Europy, a nawet całego świata.

Zmienioną została oczywiście struktura Izby wyższej w ciągu

XIX w. Zasada dziedziczności i nominacyi monarszej została wszędzie bądź ograniczona bądź usunięta przez zasadę elekcyjności. Zmniejszyły się także z biegiem czasu znaczenie polityczne i wpływ realny tej Izby. Niemniej, sam fakt istnienia jej okazał tak widoczne korzyści, iż nawet w tych państwach, w których jak we Francyi przyjęto chwilowo system jednoizbowy, musiano po namyśle powrócić do parlamentu, złożonego z dwóch Izb.

Izba wyższa okazała się mianowicie koniecznym czynnikiem równowagi pomiędzy ustawodawczą a wykonawczą funkcyą władzy państwowej. Istnienie dwóch Izb ciała ustawodawczego, miarkujących się już wskutek samego faktu swej odrębności, zapobiegło wszechwładzy czynnika ustawodawczego i przez korzystniejsze ukształtowanie położenia rządu osłabiło ostrze dwóch głównych niebezpieczeństw, grożących w szczególniejszy sposób przy systemie parlamentarnym. Wpłynęło dodatnio na większą stałość a więc i taniość rządów, z drugiej zaś strony utrudniło znacznie możliwość dostania się całej władzy państwowej w ręce jednej partyi politycznej. Izba wyższa okazała się powtóre koniecznym czynnikiem dobrego prawodawstwa państwowego. Dzięki istnieniu jej, przy nieco tylko odmiennym składzie, dającym się osiągnąć przez nieznaczne modyfikacye prawa wyborczego, oraz przez odmienne ukształtowanie okręgów wyborczych stał się parlament dwuizbowy ciałem zdolnem do oceny przedłożeń ustawodawczych z dwóch odmiennych a przecież równie potrzebnych punktów widzenia. Obok Izby poselskiej, złożonej z ludzi przeważnie młodszych, wybranych na okres krótszy, niecierpliwych, żądnych czynu, pragnących jak najdobitniej wobec wyborców swoich uzasadnić trafność wyboru, Izby dającej bezpośredni, nawet namiętny wyraz kipiącym prądom i kierunkom chwili, Izby żyjącej tylko teraźniejszością, kładącej szczególniejszy nacisk na materyalne interesy ludności, najnaglejsze, chociażby tylko lokalne i partykularne, potrzebną jest w tym celu także Izba druga, szczuplejsza, spokojniejsza, bardziej wytrawna i doświadczona, mniej uzależniona od wyborców, zdolna do oceny zagadnień ustawodawczych także i ze stanowiska przeszłości i przyszłości, ze stanowiska zasad, ze stanowiska ciągłości i konserwacyi polityki prawodawczej, ze stanowiska potrzeb ogólno-państwowych. Prawda, iż skutkiem tego będzie musiało nastąpić pewne osłabienie tempa pracy ustawodawczej, pewne opóźnienie ustaw nieraz najpożyteczniejszych. Straciwszy na ilości i pospiesz-

ności, zyskają wszakże równocześnie ustawy z pewnością nie mniej na wartości. Inaczej nie zdoła się uchronić nasz Sejm od uchwalania projektów nieprzygotowanych i nierozważonych, dorywczych i jednostronnych. Obok tych zasadniczych zadań okazała się nadto druga Izba ciałem niezmiernie pożytecznem w ogólnym ustroju państwowym także i z innych powodów. Oddała ona n. p. we Francyi, Anglii lub Ameryce państwu usługi, stanowiąc czy to wytrawny organ kontroli parlamentarnej w dziedzinie administracyi, czy też ciało zdolne do sprawowania pewnych wysokich funkcyi sądowniczych. W państwach federacyjnych, jak w Stanach amerykańskich lub Związku szwajcarskim, umożliwiła ona uwydatnienie w ustroju państwowym stanowiska indywidualności historyczno-politycznych, wchodzących w skład państwowego związku. We Francyi posiada ona nakoniec określony konstytucyą wpływ na sprawę rozwiązania Izby poselskiej przez prezydenta Rzeczypospolitej, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki wpływ na pewne nominacye państwowe i na zawieranie umów międzynarodowych przez prezydenta Stanów.

Są to istotnie motywy, uzasadniające dostatecznie potrzebę bardzo sumiennego rozważenia sprawy drugiej Izby także i w naszych warunkach. Odrzucenie jej byłoby widomym znakiem zwycięstwa krótkowzrocznej taktyki politycznej Sejmu nad realnymi interesami państwa. Rzeczpospolita stanęłaby już u swego początku uboższa od państw zachodu o pierwszorzędny czynnik pracy i twórczości państwowej.

Sprawa niezbędnego w naszych obecnych stosunkach systemu daleko idącej decentralizacyi władzy wykonawczej wymaga szerszego omówienia, na razie zatem zaznaczam tylko konieczność gruntownego jej rozważenia.

Uczestnik.

Polska, Rosya i kresy wschodnie.

W oczach niektórych polityków i w opinii ogółu przewlekła choroba bolszewicka pozbawiła Rosyę na długi czas znamion wielkiego mocarstwa. Poczęto uważać Rosyę za organizm w stanie zupełnego rozkładu i rozprzężenia, zarażony bakteryami gnilnemi do szpiku kości, niezdolny do szybkiego odrodzenia się, wyniszczony i wyczerpany w takim stopniu, że długo jeszcze jako państwo nie będzie w możności wywierać decydującego wpływu na wypadki europejskie. Nawet ci, którzy przeświadczeni są o żywotności Rosyi, jako narodu liczącego 60—70 milionów Wielkorusów, przeważnie nie wierzą w możność odbudowy wielkiej Rosyi, lecz liczą na jej rozpad, który ujawni się powstaniem szeregu odrębnych państw narodowych na jej gruzach. Koncepcya „Ober-Ostu“ i imperyalistów niemieckich, zmierzająca do podziału Rosyi na szereg samoistnych „Rand-Staaten“, któreby wszystkie pośrednio bądź bezpośrednio zostawały pod wpływem niemieckim i tworzyły dogodne tereny dla eksploatacyi niemieckiej — pokutuje stale w wielu głowach. Wielu ludziom wydaje się, że tendencye centralistyczne i unifikacyjne, które od 250 lat cechowały politykę rosyjską rozwiały się bez śladu; wyobrażają sobie, że trzon wielkorosyjski zgodziłby się na wegetacyę, odcięty od morza przez Kurlandyę i Estonię od północy, a Ukrainę od południa. Jednem słowem awantura bolszewicka miałaby przekreślić całą politykę wielkorosyjską, konsekwentnie prowadzoną od czasów Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego aż do Mikołaja II., politykę, która w mózgach wielko-rosyjskich utrwaliła się niejako w formie *d'une idée fixe.*

Rachuba na długi jeszcze bezwład Rosyi i niezdolność do jej odrodzenia się w postaci wielkiego imperyum jest, naszem

zdaniem, złudzeniem szkodliwem, którego czemprędzej wyzbyć się należy. Zgniła gorączka bolszewicka wprawdzie osłabiła niezmiernie i zdezorganizowała Rosyę, ale siły żywotne tego kolosu są tak znaczne, że po operacyi wrzodów i wydzieleniu materyi gnilnych łatwo swe rany zabliźnić zdoła, tembardziej że nie zbraknie mu lekarzy zachodnio-europejskich, którzy nie poskąpią choremu człowiekowi rosyjskiemu troskliwej pomocy. Przedewszystkiem Francya, która ulokowała w Rosyi 20 miliardów franków i która nie może dopuścić, aby Rosya stała się po wojnie łupem ekspansyi niemieckiej, widzi swój żywotny interes w postawieniu Rosyi na nogi i niedopuszczeniu, aby Niemcy wciągnęły ją w orbitę swoich wpływów i swej polityki. Anglia, wierna swemu hasłu: „morze i nafta“, nie wypuści również Rosyi z swej opieki. Wprawdzie wbrew życzeniu Francyi, a za sprawą Anglii i Stanów Zjednoczonych zaniechano myśli ekspedycyi europejskiej w głąb Rosyi celem usunięcia rządów bolszewickich, ale nie odmawia się materyalnego poparcia takimże usiłowaniom rosyjskim. Jeśli wszystkie odznaki nie mylą, Piotrogród znajduje się przed upadkiem, a twierdzą bolszewizmu pozostanie Moskwa, zapewne z kolei nie na długo.

Rosya *rediviva* staje się faktem. Kooperacya generałów: Kołczaka, Judenicza i Denikina wyda wcześniej czy później owoce i na widowni świata zjawi się znowu Rosya jako wielkie mocarstwo, niewiadomo tylko w jakiej postaci, czy w postaci dawnego państwa centralistycznego, czy też jako państwo związkowe, złożone z wielu autonomicznych prowincyi. Wobec braku informacyi, bardzo skąpo napływających, nie sposób przewidzieć drogi, po której pójdzie odbudowa Rosyi i jej wielkomocarstwowego stanowiska. Że ta odbudowa jest jednak tylko kwestyą miesięcy, nie ulega wątpliwości.

Tem samem przed zmartwychwstałą Polską staje w całej powadze problem stosunku do nowej Rosyi, problem, który wypełniał naszą historyę od Jagiellonów począwszy aż po rok 1863, w którym to roku kwestya polska ze sprawą głównie Bismarcka usunięta została pozornie z widowni międzynarodowej.

Odwieczny spór polsko-rosyjski jest sporem o kresy wschodnie. Rosya republikańska Kiereńskiego zrzekła się pretensyi do Królestwa, uznała niezawisłość Polski etnograficznej. O Warszawę i „kraj Przywiślański“ nie będziemy już tedy toczyli wojny z Rosyą; z utratą Królestwa pogodzili się

wszyscy przedstawiciele Rosyi. Natomiast co do Litwy, Białorusi i Rusi odradzająca się Rosya nie myśli pono o zmianie swej tradycyjnej polityki. Pan Sazonow, były carski minister spraw zagranicznych, w rozmowie z współpracownikiem jednego z pism angielskich, uznając niezawisłość Polski etnograficznej, żąda poza tem przywrócenia przedwojennych granic rosyjskich. Nowa Rosya nie wyrzeka się żadnych terytoryów, które posiadała dawna, przyrzeka tylko szeroką prowincyonalną autonomię poszczególnym ziemiom. Nowa Rosya liczy przytem, zapewne nie bezpodstawnie, na poparcie swych dążeń w pierwszym rzędzie przez Francyę.

Nie wiemy jednak dokładnie, jakie zasady zastosuje koalicya do Rosyi. Słychać, że entente'a żąda od Rosyi zrzeczenia się pretensyj do Litwy, a nawet do bałtyckich prowincyj.

Z chwilą odbudowy Rosyi odżyje więc również w całej mocy spór polsko-rosyjski o kresy — a młode państwo polskie, w interesie swego spokojnego rozwoju, musi ten spór załatwić. Musi, choćby uważało zadanie za zbyt trudne i ociągało się z decyzyą, bo niewątpliwie zażądają tego paryscy sędziowie świata. W toku powszechnej likwidacyi problemów międzynarodowych konieczność uregulowania stosunków polsko-rosyjskich wysunie się na pierwszy plan.

Tout irait bien si ce n'était pas ce petit bonhomme sur le cheval blanc, powiedział Gorczakow w roku 1863. Ten „mały człowieczek na białym koniu“ to Pogoń litewska. Sprawi ona niebawem dużo kłopotu dyplomacyi świata. Co do nas, musimy zdawać sobie jasno sprawę, do czego dążymy i co osięgnąć możemy. Realna polityka zmierza do celów osięgalnych i obiera drogi, zapewniające możliwe bezpieczeństwo.

* * *

Wobec bałamutnych, nawet z trybuny sejmowej wygłaszanych, zarzutów i oskarżeń, należy nam przedewszystkiem przedstawić wytyczne obecnej polskiej polityki w sprawie kresów wschodnich. Niestety i tym razem nie zdołaliśmy ustalić ściśle jednolitej opinii, wytworzyć jednolitego frontu. Dawny obóz aktywistyczny, socyalistyczno-enkaenowy, widzi w odradzającej się Rosyi śmiertelnego wroga Polski — i wypowiada jej wojnę. „Ze

strony Rosyi grożą Polsce największe niebezpieczeństwa" twierdzą socyaliści i aktywiści; dlatego winna Polska dążyć wszelkiemi siłami do osłabienia Rosyi, popierać wszelkie tendencye zmierzające do rozbicia Rosyi w kawałki i do stworzenia między Polską a Rosyą baryery buforowych państw kresowych. Socyaliści i aktywiści, z obawy przed Rosyą i z nienawiści do jej imperyalizmu, proklamują tedy przedewszystkiem niezawisłość Ukrainy — i są tą ukraińską koncepcyą tak zachwyceni, że bez wielkich skrupułów w imię ugody z Ukraińcami zrzekliby się przyłączenia wschodniej Galicyi do Polski. Co do Litwy i Białorusi lewicowo-aktywistyczne żywioły, eskontując z góry na rzecz Polski niewiadomą jeszcze wcale wolę ludności litewskiej, białoruskiej i żydowskiej (ludności przeważnie niekulturalnej, nieuświadomionej, a nurtowanej wrogiemi dla Polski prądami) — propagują ideę przywrócenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, któreby na zasadzie samostanowienia narodów sprzymierzyło się z Polską i związało z nią nową unią.

Wyrazem tej koncepcyi jest wileńska odezwa Piłsudskiego „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego", rozlepiona na murach Wilna w czterech językach: polskim, litewskim, białoruskim i żydowskim dnia 22 kwietnia. Odezwa ta głosi:

„Chcę Wam dać możność rozwiązania spraw wewnętrznych tak jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu i nacisku ze strony polskiej.

Dlatego to pomimo, że na Waszej ziemi grzmią jeszcze działa i krew się leje — nie wprowadzam zarządu wojskowego, lecz cywilny, do którego będę powoływał ludzi miejscowych, synów tej ziemi.

Zadaniem tego zarządu cywilnego będzie:

1. Ułatwienie ludności wypowiedzenia się co do swego losu i potrzeb przez swobodnie wybranych przedstawicieli. Wybory te odbędą się na podstawie równego, tajnego, powszechnego, bezpośredniego, bez różnicy płci głosowania.

2. Danie potrzebującym pomocy w żywności, poparcie pracy wytwórczej, zapewnienie ładu i spokoju.

3. Otoczenie opieką wszystkich, nie czyniąc różnicy z powodu wyznania i narodowości.

4. Na czele postawiłem Jerzego Osmołowskiego, do którego bezpośrednio, lub do ludzi przez niego wyznaczonych, zwracajcie się otwarcie i szczerze we wszelkiej pctrzebie i sprawach, które Was bolą i obchodzą. — Józef Piłsudski".

Jak wiadomo, sposób ogłoszenia tej odezwy i jej prawnopolityczna treść wywołały dyskusyę i ostrą krytykę w kołach politycznych, znajdując aprobatę tylko w obozie „exaktywicznym".

Przewidująca polityka narodowa, za którą się oświadcza bardzo znaczna większość w Sejmie, zgoła niesłusznie oskarżana jest o zaborczość i aneksyonizm. Polityka ta odnośnie do Litwy i Białorusi zasadniczo nie wiele różni się od polityki, której wyrazem była owa wileńska odezwa Piłsudskiego. Różnice zachodzące, różnice znaczne, są natury taktycznej.

Jeszcze dnia 4 kwietnia poseł Stanisław Grabski, jako sprawozdawca komisyi spraw zagranicznych, w ten sposób określił stanowisko polskie w sprawie kresów wschodnich:

„Akcya polska na kresach wschodnich nie jest bynajmniej zaborczą. Nasza akcya wojskowa tak na Białej Rusi jak i w Galicyi nie jest walką prowadzoną przeciwko ludności miejscowej, lecz walką z państwami położonemi dalej na wschodzie, z Rosyą bolszewicką i Ukrainą, która jest tylko jedną z odmian bolszewizmu, o ziemie, które całą swoją przeszłością historyczną i swoją cywilizacyą, jakoteż składem etnograficznym należą do narodowo-polskiego terytoryum... Na wschodzie są olbrzymie przestrzenie o ludności bez wyraźnej fizyognomii narodowej. 150 lat Rosya walczyła o to, aby wykorzenić stamtąd wpływ polski i narzucić tym ziemiom kulturę, język i religię rosyjską. Nie udało się Rosyi tych obszarów Białorusi, Litwy, Wołynia, Podola, Ukrainy zrusyfikować, ale udało się jej w wielu miejscach odepchnąć bardziej na zachód wpływ i kulturę polską, a przedewszystkiem utrzymać ten lud miejscowy na najniższym stopniu cywilizacyi i nie dopuścić do jakiejkolwiek samowiedzy narodowej. Jest to jedyna może ludność w Europie, która zapytana o narodowość odpowie jedynie, że jest tutejsza.

„Jest naszym obowiązkiem, aby te ziemie na wschodzie, na których miejscowa ludność polska czy liczebną siłą, jak np. w Wilnie i w całym powiecie wileńskim albo w niektórych połaciach wschodniej Galicyi, czy też kulturą i cywilizacyą piętno polskości

wycisnęła, a które ku polskości ciążą, dla państwa polskiego odzyskać.

„Im dłużej toczą się walki światowe, tembardziej wśród ludności kresów białoruskich i rusińskich, częściowo nawet niepolskiej, budzi się ciążenie ku Polsce. Rząd winien dbać usilnie o to, żeby nietylko miejscowa ludność polska, lecz także ludność białoruska i rusińska mogła się swobodnie co do swego związku z Polską wypowiedzieć. Nie znaczy to naturalnie, abyśmy dzisiaj chcieli natychmiast urządzić tam referendum, bo ludność ta jeszcze dokładnej świadomości swojej narodowej i politycznej nie posiada, ale jeżeli dajemy rządowi takie polecenie, to oczywista jednocześnie wzywamy rząd, aby stworzył takie warunki, wśród których ta ludność mogłaby się swobodnie i bez obawy terroru z zewnątrz wypowiedzieć w sprawie przynależności do Polski.

„Potrzeba ją wyzwolić od terroru bolszewickiego na Białorusi i Litwie, od terroru Petlurowców w Galicyi i na Rusi, a jestem pewny, że ta ludność, skoro tylko pozna naprawdę polską administracyę i polskie władze i tylko przez pewien czas znajdzie się w łonie państwa polskiego, niewątpliwie wypowie się za Polską, a nie przeciw Polsce...

... Dziś, gdy kongres decyduje o granicach, nie jest pora, aby ściśle na wschodzie wykreślać granice państwa polskiego, czy one mają iść Zbruczem, czy Horyniem, ale bodajże koniecznem jest, aby właśnie teraz, kiedy się rokowania w Paryżu o granice Polski toczą, było wiadomem, czego naprawdę naród polski i sejm, jako jedyny wyobraziciel woli naszego narodu, żąda od Europy i co uważa za przywrócenie Polsce dziejowej sprawiedliwości. Dlatego komisya wypowiedziała zasadę, że ziemie, na których polska ludność liczbą, albo wiekową pracą cywilizacyjną wycisnęła charakter polskości, do Państwa polskiego wrócić winny".

Zajęcie Wilna (dnia 19 kwietnia) i wielkie postępy wojsk polskich na Litwie i Białorusi w walce z bolszewikami, tudzież odezwa wileńska, zniewoliły komisyę spraw zagranicznych do dalszego szczegółowego rozpatrzenia sprawy stosunku Polski do kresów wschodnich. Po wyjaśnieniach Paderewskiego w komisyi Sejm, wysłuchawszy exposé prezydenta ministrów, uchwalił jedno-

myślnie w dniu 22 maja rezolucyę, z której przytaczamy punkty, odnoszące się do ziem litewskich:

„Rzeczpospolita polska dąży do uwolnienia ziem b. wielkiego księstwa litewskiego od obcej przemocy i do umożliwienia narodom tych ziem wypowiedzenia się co do losów swoich własnych i stosunku swego do państwa polskiego. Rzeczpospolita dąży do łączności z narodami byłego księstwa litewskiego na podstawie wspólnych interesów politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Wyraz prawnopaństwowy tej łączności odpowiadać ma prawu każdego narodu decydowania o swoim losie. Zasada zatem stanowienia o sobie narodów dotyczyć musi i tej części historycznej Litwy, która ma większość ludności polskiej i która dąży do zjednoczenia z Polską. Sejm oświadcza, że Rzeczpospolita polska nie zamierza włączyć w skład państwowy polski ziem b. wielkiego księstwa litewskiego na mocy uchwały jednostronnej ciała ustawodawczego Polski.

„Sejm uznaje zasadę stanowienia o sobie narodów b. wielkiego księstwa litewskiego, wypowiedzianą zarówno w sprawozdaniu komisyi dla spraw zagranicznych, przyjętem przez sejm i w odezwie naczelnego wodza z 22 kwietnia, wydanej po zdobyciu Wilna przez wojska polskie, nie przesądzając sposobu wykonania tej zasady“.

W sprawie stosunku Polski do Ukrainy, zagadnienia, które sprowadza się właściwie do kwestyi przynależności Galicyi wschodniej, ani komisya ani plenum Sejmu nie zdobyły się na jednomyślność. Ogromną jednak większością uchwalona została tak w komisyi, jak w Sejmie rezolucya (Dąbskiego), która opiewała:

„Sejm witając z sympatyą wszelkie dążenia narodów wyzwolonych z pod jarzma rosyjskiego do własnej państwowości i nie mając zamiaru sprzeciwiać się dążeniom ukraińców do stworzenia własnej państwowości na terytoryum państwa rosyjskiego, wyraża przekonanie, że Galicya wschodnia ze względu na odwieczną historyczną łączność z Polską, ze względu na ziemię i ludność polską, wielowiekową jej pracę kulturalną, oraz konieczność wspólnej granicy z Rumunią dla uzyskania dostępu do morza Czarnego, musi należeć do państwa polskiego.

„Sejm oświadcza, że ludności ruskiej w granicach Rzeczypospolitej będą dane takiesame prawa autonomiczne, jakie dane będą ludności polskiej na Ukrainie“.

Socyaliści zgłosili odrębną rezolucyę, na którą padła tylko nieznaczna ilość radykalnych głosów:

„Stojąc na stanowisku wyzwolenia narodów przez carat ujarzmionych wyrażamy sympatyę dążeniom do utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego. Sejm wyraża gotowość do ustalenia granicy między Polską a Ukrainą, granicy będącej gwarancyą sąsiedzkiej zgody między obu narodami. Narzucona Polsce wojna z Ukraińcami ma na celu ochronę ludności polskiej, okrutnie przez wojsko ukraińskie katowanej i zabezpieczenie narodowych i państwowych interesów Polski“.

Wola narodu w sprawie Galicyi wschodniej zamanifestowała się niedwuznacznie. Dobro narodu wymaga tego, aby Galicya wschodnia pozostała częścią składową państwa polskiego. Różnica między rezolucyą większości a mniejszości jest, według słów Grabskiego, wypowiedzianych w Sejmie, taka: „rezolucya mniejszości wysuwa na front pierwszy uznanie państwa ukraińskiego, co większość uznała za nieodpowiednie. Dalej rezolucya mniejszości nie stwierdza wyraźnie prawa narodu polskiego do Galicyi wschodniej. Zresztą rezolucye nie różnią się wcale co do zasadniczej idei, która jest przewodnią myślą całej polskiej polityki zagranicznej, mianowicie obrony swoich praw bez nastawania na cudzą własność“.

Co do ziem W. Ks. Litewskiego pos. Głąbiński w ten sposób określił zasady polityki narodowej większości:

„Stoimy na stanowisku, jak poprzednio, że nie można tym ludom odmawiać prawa stanowienia o sobie. Ale nie możemy odmówić tego prawa narodowi polskiemu. Naród polski w zwartej masie zamieszkuje gub. wileńską, grodzieńską i w znacznej części mińską — i dlatego wydając prawo stanowienia ludów o sobie, opierając się na zasadzie Wilsona, nie możemy odmawiać tego prawa narodowi polskiemu, domagającemu się głośno złączenia się z Polską. Dlatego nie byłoby pod tym względem różnicy pomiędzy nami a Naczelnikiem Państwa. Ale chodziło mi, że nie możemy się zgodzić na to, żebyśmy z góry narzucali pewne koncepcye tym ludom.

„Dawne w. ks. litewskie było czemś innem, niż dzisiejsza ziemia na tem terytoryum. Dziś na ewentualną unię musi się zgodzić cały naród. My nie możemy z góry przesądzać, czy ludy tamtejsze życzą sobie tej unii. Jeśli nasz naród, tam mieszkający, chce być tylko z Polską zjednoczony, to nie możemy mu narzucać tylko jednej koncepcyi. Jeśli ten naród będzie pragnął żyć z nami, to w naszym interesie jest, żeby zjednoczona Polska była jeszcze większa i silniejsza. Jeśli wspomniał pan Daszyński o odezwie Naczelnika państwa, to zaznaczam, żeśmy nie występowali przeciwko zasadzie samookreślenia narodów w tej odezwie, ale nie zgadzaliśmy się na sposób przeprowadzenia tej zasady. P. Daszyński mówił o Galicyi Wschodniej, że my jesteśmy imperyalistami. Czy to jest imperyalizm, jeśli nie sięgamy po cudze. Mamy bardzo znaczną ludność polską na Ukrainie rosyjskiej, a po nią ręki nie wyciągamy. W Galicyi Wschodniej jest zupełnie co innego".

Politykę przeważnej większości Sejmu i przeważnej większości społeczeństwa w sprawie kresów wschodnich cechuje zdrowy, trzeźwy realizm: nie sięgamy po cudze, ale żądamy swego. Opieramy się na zasadzie samostanowienia narodów, więc pragniemy, aby Polacy, mieszkający w zwartej masie, mogli, jeśli chcą, przyłączyć się do Polski. Wolę swą w tym kierunku polska ludność kresowa niejednokrotnie już wypowiedziała. Nie chcemy zaś obcym szczepom narzucać z góry jakichkolwiek koncepcyi politycznych, nie chcemy wmieszać się do wewnętrznych spraw Ukrainy i propagować wśród niej dążności separatystycznych, któreby nas nieuchronnie narażały na konflikt z odbudowywującą się nową Rosyą.

Stanowisko większości jest stanowiskiem neutralności wobec Rosyi.

* * *

Tylko takie stanowisko odpowiada dzisiaj polskiej racyi stanu.

Wojny z Rosyą dziś prowadzić nie możemy. Nietylko dlatego, że na wojnę nie pozwoli nam ententa, ale że najżywotniejszy interes Polski zabrania nam wojny na wschodzie.

Nie Rosya bowiem jest naszym najgroźniejszym wrogiem, lecz Niemcy. Nie niebezpieczeństwo rosyjskie ciężyć będzie

w przyszłości na Polsce, lecz niebezpieczeństwo niemieckie. Polska dźwignęła się nie na gruzach Rosyi, która bez Kongresówki, bez Litwy i Białorusi, pozostanie ogromną potęgą i kolosem terytoryalnym, zdolnym w pełni do życia i mającym w Azyi pole do wszelkiej ekspansyi: ale Polska dźwignie się na gruzach Prus, które wszystkie zdobycze swej zaborczej polityki od czasu Fryderyka Wielkiego utracą na rzecz Polski. Czyż w tych warunkach można myśleć o jakiejś symbiozie niemiecko-polskiej, o jakiemś wyrównaniu rachunków? Czyż żądza odwetu na nienawistnej Polsce nie będzie odtąd niepodzielnie panowała nad duszami potomków krzyżackich i kierowała ich polityką?

Granicząc z Niemcami i z Rosyą, Polska równocześnie na dwu frontach wojny prowadzić nie może. Z Niemcami pokój jest wykluczony; z Rosyą pokój jest możliwy, przeto musimy go zawrzeć.

Nie wiemy jeszcze wcale, jaką koleją potoczą się wypadki w Rosyi i jakie stanowisko zajmie koalicya wobec rozlicznych problematów rosyjskich. Nie wiemy, jakie postanowienia zapadną w Paryżu w sprawie kresów wschodnich; to jednak pewne, że do tych postanowień zastosować się będziemy musieli. Ze wszech miar jest wskazane, abyśmy spór nasz z Rosyą starali się załatwić polubownie sami, bez interwencyi obcych mocarstw. Ugoda polsko-rosyjska umożliwi nam nawiązanie dobrych stosunków sąsiedzkich z Rosyą, czego wymaga nasz gospodarczy interes.

Nasza ekspansya gospodarcza musi szukać dróg na wschód. Przemysł Królestwa główne rynki zbytu miał przed wojną w Rosyi. Jeżeli tych rynków nie odzyskamy, utorujemy Niemcom do nich dostęp. Z tych samych gospodarczych względów zarzucić należy pomysł odgrodzenia się od Rosyi baryerą państewek buforowych. Państewka takie militarnie nie stanowią żadnej osłony, politycznie mogą być bardzo niewygodne, tworząc na wschodzie nowy Bałkan z kuźnicami intryg dyplomatycznych w Wilnie, Kownie, Mińsku i Kijowie, a gospodarczo tworzyłyby baryerę między nami a całym wschodem rosyjskim, którego będziemy potrzebowali. Istnienie państewek buforowych, choćby nawet związanych w pewnej mierze z Polską, ułatwi tylko Niemcom próby opanowania Rosyi.

Polityka polska wobec Rosyi, rezygnując z terenów, grawitujących do Rosyi, ale nie dopuszczając nawet do dyskusyi w spra-

wie Galicyi wschodniej, która stanowi integralną część Polski, a na Litwie i Białorusi wysuwając jako minimum żądań przyłączenie ziem z etnograficzną polską większością do Polski, musi dążyć do zlikwidowania sporu polsko-rosyjskiego i do ugody z Rosyą, ugody, którąby była dla Niemców baryerą w ich „Drang nach Osten“, a Polsce pozwoliła utrzymywać odpowiednie pogotowie na zachodzie bez troski o kresy wschodnie.

Tak jak dążymy do wspólnej granicy z Rumunią, tak samo po zlikwidowaniu sporu potrzebujemy wspólnej granicy z Rosyą. Traktujemy dziś z Rosyą jako państwo z państwem, jako równy z równym. W tych warunkach ugoda z Rosyą jest możliwa — a jest konieczna dla Polski.

Ludwik Szczepański.

Kilka uwag o urządzeniu administracyi w Polsce.

Na obecnym ustroju administracyi w Polsce ciążą dwa fakta, odziedziczone historycznie: Jeden z nich, genetycznie dawniejszy — to sposób budowania władz polskich w okresie okupacyi niemieckiej i austryacko-węgierskiej na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego; drugim zaś — to rozmaitość ustrojów administracyjnych na obszarach różnych zaborów, które weszły w skład Rzeczypospolitej polskiej. Rozpoczniemy więc od rozpatrzenia wpływu, jaki wywarły oba te fakta na obecny stan rzeczy, by na tej podstawie rozważyć następnie zasadnicze linie wytyczne, po których winna zdążać reforma w kierunku zbudowania jednolitego ustroju administracyi w Polsce.

Budowa władz polskich w okresie okupacyi ziem byłego zaboru rosyjskiego postępowała nie tylko wolno, ale i cząstkowo. Oto fakt bardzo doniosły, wymagający szczególnego podkreślenia. Że rozwój był wolny, to wpływało na to wiele przyczyn, przedewszystkiem zaś ta okoliczność, że państwom centralnym nie zależało zbytnio na jego przyśpieszaniu, a powtóre, że ciągłe między niemi panujące różnice, ilekroć wypadło uczynić jakiś krok pozytywny naprzód, przewlekały ostateczną decyzyę. Stąd to owo niejasne zrazu po proklamacyi z 5 listopada 1916 r. stanowisko w sprawie budowy rządu polskiego, a potem ustępowanie wolne i zawsze tylko we formie mniej lub więcej wyraźnych półśrodków pod naciskiem istotnych stosunków, silniejszych często od wypracowanych z góry planów i zamiarów. Etapami tej linii są po wspomnianej proklamacyi: Rozporządzenie jenerał-gubernatora warszawskiego, Beselera, o Sejmie i Radzie Stanu, rozporządzenie, najwidoczniej

zrobione na prędce, bo zawierające konkretne postanowienia tylko dla okupacyi niemieckiej, a co do reszty kraju odsyłające do przyszłego, bliżej nieokreślonego, porozumienia z austryacko-węgierskim jenerał-gubernatorem w Lublinie; rozporządzenie, które zresztą nigdy w życie nie weszło. Powołanie Tymczasowej Rady Stanu oznacza dalsze posunięcie się w ustępstwach, tym razem już poza papierowe ogólniki, choćby ujęte w paragrafy czy artykuły. Wreszcie stworzenie Rady Regencyjnej i gabinetu polskiego zamyka tę linię rozwojową. Ten też ostatni fakt stał się dopiero naprawdę punktem wyjścia dla budowy władz administracyjnych i ciąży — jak zobaczymy — na niej do dziś dnia.

Dnia 3 stycznia 1918 r. wydaje Rada Regencyjna dekret „o tymczasowej organizacyi władz Naczelnych w Królestwie Polskiem". Określa on organizacyę i zakres działania Rady ministrów, Prezydenta ministrów i ośmiu ministrów (spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, skarbu, oświaty i wyznań, rolnictwa i dóbr koronnych, przemysłu i handlu, opieki społecznej i ochrony pracy, tudzież aprowizacyi). Od tej chwili dalsza rozbudowa ogranicza się — poza sądami i szkolnictwem — niemal wyłącznie do władz centralnych (np. stworzenie ministerstwa zdrowia publicznego, przekształcenie departamentu spraw politycznych na ministerstwo spraw wewnętrznych lub Komisyi wojskowej na ministerstwo spraw wojskowych). Było to koniecznem następstwem tej okoliczności, że władze okupacyjne dzierżyły w swych rękach całą administracyę u dołu, a i u góry patent obu cesarzy z 12 września 1917 r. o stworzeniu Rady Regencyjnej zostawiał szerokie pole władzy dyskrecyonalnej obu jenerał-gubernatorów. Zatem pierwsze dnie listopada 1918 roku zastały na terytoryum dawnego Królestwa Kongresowego taki stan rzeczy: U góry Radę Regencyjną, jako władzę zwierzchnią i gabinet ministeryalny, rozbudowany już tymczasem poza ramy dekretu z 3 stycznia, u dołu zaś stan całkiem szczególny, mianowicie w byłem jenerał-gubernatorstwie urzędy powiatowe w miejsce austryackich „Kreiskommanden", prowadzone z początku przez starostów, Polaków z Galicyi, którzy za okupacyi byli przy tych komendach przydzielani w charakterze „komisarzy cywilnych", a później w pewnej części powiatów przez Komisarzy ludowych, zamianowanych przez t. zw. rząd republiki lubelskiej, na obszarze zaś okupacyi niemieckiej objęli administracyę

powiatową zamianowani komisarze, którzy w przeważnej części nie mieli dotąd sposobności pracować w administracyi państwowej.

Jakiż był wynik podobnego stanu rzeczy? Rozwój poszedł po linii najmniejszego oporu i po drodze, najlepiej stosunkowo ubitej, t. zn. w kierunku dalszej rozbudowy władz centralnych. Skutek jest ten, że mamy obecnie szesnastu ministrów, a obok nich jeszcze Główny Urząd Likwidacyjny „na prawach osobnego ministerstwa“ z prezesem o charakterze ministra na czele i Najwyższą Izbę Kontroli Państwa, podległą bezpośrednio Naczelnikowi Państwa i zajmującą szczególne stanowisko w ustroju władz centralnych. Obok tego zaś istnieje całe mnóstwo specyalnych władz, urzędów, instytucyi i organów doradczych, już to ze stanowiskiem tak bardzo samoistnem, jak Prokuratorya Generalna Rzeczypospolitej Polskiej, już też mniej lub więcej podległych poszczególnym ministerstwom. Z braku pośrednich instancyi wytwarzać się poczęły tendencye centralistyczne, nie budzące chwilowo głębszych, krytycznych refleksyi z tego powodu, bo chodziło na razie o obszar, stosunkowo niewielki, bo o samą tylko dawną Kongresówkę i obszar mający jedno i tosamo ustawodawstwo. Naodwrót jednak właśnie skutkiem braku tych pośrednich instancyi, jak i z powodu mnożenia ministerstw, idących z sobą w piękne zresztą zawody o jak najszerszą kompetencyę, wystąpiło inne zjawisko: Dążność do równie rozdrobnionej podbudowy, do stworzenia dla każdego ministerstwa osobnego fundamentu u dołu, a to we formie rozbicia administracyi powiatowej na szereg równorzędnych sobie władz administracyjnych pierwszej instancyi. A więc widzimy z jednej strony dążność do scentralizowania wszystkich agend administracyjnych w drugiej i ostatniej instancyi w ministerstwach, z drugiej zaś kopiowanie wielorodności władz centralnych u dołu, czyli decentralizacya merytoryczna w obrębie administracyi powiatowej.

Skutki? Liczny aparat urzędniczy we władzach centralnych, załatwianie spraw wolne, ba, coraz wolniejsze w miarę przybywania spraw z innych zaborów, no i coraz trudniejsze skutkiem innego ustawodawstwa, odmiennych często stosunków gospodarczych itp., a przy tem oczywista kosztowne administrowanie. U dołu zaś komisarz powiatowy, zwany zresztą w rozporządzeniach i okólnikach rozmaicie, także ludowym, rządowym, lub rządowym komisarzem powiatowym, stoi wprawdzie na czele administracyi po-

wiatowej, lecz obok niego urzędują, jako samoistne organa rządowe, lekarz powiatowy, notaryusz powiatowy, inżynier powiatowy itd.

Życie jednak znowu okazuje się silniejszem. Administrowanie, tak bezpośrednio dotykające ludności i jej potrzeb, jak to ma miejsce w pierwszej instancyi, nie da się pogodzić z różnorodnością i rozbieżnością swoich dźwigarów. To też już się okazała potrzeba jakiegoś uzgodnienia i nadania jednolitości biegowi spraw, gdyż „Tymczasowe Przepisy o organizacyi Urzędów powiatowych", ogłoszone okólnikiem ministerstwa spraw wewnętrznych z 3 lutego 1919 roku w numerze 15 Dziennika Urzędowego Min. spraw wewn. przewidują utrzymanie kontaktu między komisarzem powiatowym, a owymi urzędnikami, podległymi innym ministerstwom, we formie konferencyi, komunikowania przez tych ostatnich komisarzowi powiatowemu projektowanych zarządzeń ogólnej natury najpóźniej na 48 godzin przed ich opublikowaniem celem kontrasygnowania itp. Wspomniane „Tymczasowe Przepisy" idą już nawet o tyle dalej, że dają komisarzowi powiatowemu prawo udzielania urlopów do 14 dni w jednem półroczu także urzędnikom innych ministerstw, przydzielonym do władzy powiatowej. Oczywista są to wszystko następstwa, wywołane siłą pulsującego życia, którego wciąż się zmieniające przejawy często nie mogą czekać na załatwienie czy wyrównanie sporów kompetencyjnych i dążą do przechylenia ostatecznie szali na rzecz tego organu administracyjnego, który — jak w tym wypadku komisarz powiatowy — jest lepiej obznajomiony z miejscowymi stosunkami, niż najgenialszy nawet minister czy jego referent, wydający ze stolicy instrukcye swemu organowi I. instancyi w odległym powiecie i to tylko z punktu widzenia choćby nawet bardzo doniosłej, lecz tylko jednej gałęzi administracyi publicznej, kiedy ta ostatnia wymaga zawsze ogarnięcia całego splotu miarodajnych dla danego wypadku stosunków, jeżeli ma być celową z punktu widzenia i potrzeb interesowanych jednostek i interesu kraju.

O tem, że to równoległe urzędowanie obok siebie kilku specyalnych władz administracyjnych po powiatach dawnej Kongresówki nie bardzo odpowiada celowi, zdaje się świadczyć inny jeszcze okólnik ministerstwa spraw wewnętrznych tej samej daty (3 lutego 1919), L. 133 Dz. Urzęd. Min. spraw wewn., który jak gdyby się stara wtłoczyć komisarzom powiatowym w mózg i serce, że

„komisarze powiatowi w Polsce są i pozostaną gospodarzami powierzonych im powiatów i o tej swej roli pamiętać zawsze powinni, gdyż wynikają z niej ich obowiązki i stanowisko w powiecie“ i że „z tego samego tytułu i charakteru gospodarza powiatu powinien wypływać stosunek komisarzy ludowych do innych przedstawicieli władz w powiecie“. Nasuwa się uzasadnione podejrzenie, że skutkiem mnożenia po powiatach innych równoległych organów administracyjnych obok komisarzy powiatowych, ci ostatni coraz mniej są owymi „gospodarzami powierzonych sobie powiatów“.

Tymczasem na ziemiach innych zaborów po pewnych zmianach, wprowadzonych zwłaszcza w pierwszej chwili, utrzymał się naogół dotychczasowy ustrój administracyjny. Pierwsze próby ujednostajnienia, które się zaczęły tutaj pojawiać, były kopiowane z owych raczej tylko z konieczności zaimprowizowanych, niż należycie przemyślanych, dążności do stwarzania szeregu równoległych organów administracyjnych w powiecie wzorem urządzeń na ziemiach dawnej Kongresówki. W szczególności dotyczy to byłej Galicyi, zwłaszcza odnośnie do administracyi sanitarnej, technicznej i t. p.

Ostateczny zatem wynik jest ten, że obecnie w każdej z dzielnic jest ustrój administracyjny odmienny, inny w byłem Królestwie, inny w dawnej Galicyi, inny na Śląsku Cieszyńskim, inny wreszcie w dawnym zaborze pruskim. Na obszarze Kongresówki został on stworzony właściwie całkiem na nowo i nosi na sobie wszelkie cechy czegoś tymczasowego, co jednak promieniuje w pewnych kierunkach na inne dzielnice, wywołując zmiany częściowe i zwiększając przez to tylko istniejący chaos. Stąd konieczność reformy staje się z każdym dniem coraz bardziej piekącą. Podobno rząd pracuje nad projektem urządzenia administracyi. Wobec doświadczeń, poczynionych z deklaracyą konstytucyjną, jest rzeczą wskazaną sprawę rozważyć spokojnie, *sine ira et studio* i wszechstronnie, bo nie wolno zapominać, że jedną z najtrudniejszych rzeczy jest reforma administracyi; raz w ruch wprowadzona maszyna daje się tylko z trudem przerobić i inaczej nakręcić, a przecież od sprawności administracyi zależy w pierwszej linii siła państwa. Nie sposób w szczupłych ramach artykułu rozważyć całokształt wszystkich, choćby tylko najważniejszych problemów, związanych z ustrojem administracyi państwowej, można się ograniczyć wyłącznie do

wskazania pewnych wytycznych linii, po których reforma pójść powinna. Co się tyczy szczegółów, to odsyłam do swej rozprawki, drukowanej w Krakowie w ubiegłym roku p. t.: *Zarys urządzenia administracyi w Polsce.* Odnośnie zaś do wytycznych zasad, to dadzą się one — mem zdaniem — ująć w następujący sposób:

A. Urządzenie administracyi musi objąć nie tylko samą organizacyę władz administracyjnych, lecz także postępowanie administracyjne, sądownictwo administracyjne i prawno-prywatną odpowiedzialność organów administracyjnych dlatego, że dopiero wszystkie te problemy, ujęte na podstawie jednolitych zasad, składają się na całość, mogącą odpowiedzieć celowi.

B. Organizacya władz administracyjnych powinna dążyć do stworzenia rządu jednolitego, sprężystego i sprawiedliwego.

1. Zasadzie jednolitości należy uczynić zadość przez połączenie władz rządowych i samorządnych nie tylko w stosunku wzajemnej kontroli i rady, ale i w wykonawczem działaniu administracyjnem. Tylko bowiem na tej drodze może czynnik urzędniczy pozostawać w ciągłej i bezpośredniej styczności z czynnikiem obywatelskim, a ten ostatni poznać z bezpośredniego doświadczenia całą trudność skomplikowanych zadań nowożytnej administracyi, przejść ze stanowiska samej tylko krytyki na teren pozytywnej pracy i dzielić skutkiem tego odpowiedzialność za administrowanie odnośną jednostką administracyjną na równi ze zawodowym czynnikiem urzędniczym.

2. Zasadę sprężystości rządu dałoby się przeprowadzić w myśl następujących wytycznych:

a) G m i n ę jednostkową z wybieranym naczelnikiem gminy (wójtem, burmistrzem, prezydentem miasta) zachować jako jednostkę gospodarczą, zwalniając ją równocześnie od innych obowiązków, przechodzących często jej siły. Natomiast dla spraw policyi miejscowej i współdziałania w wykonywaniu administracyi państwowej należałoby utrzymać, względnie tworzyć z kilku gmin wiejskich, lub też z mniejszych miast i gmin wiejskich, zbiorowe o k r ę g i g m i n n e z mianowanymi naczelnikami okręgowymi na czele; większe miasta stanowiłyby dla siebie odrębne okręgi miejskie dla wymienionych wyżej spraw.

b) Na czele wszystkich jednostek administracyjnych postawić mianowanych naczelników. Ustrój zaś władz oprzeć na następujących zasadach:

Powiat ma Sejmik powiatowy, złożony z 24 członków i 12 zastępców, wybieranych przez Rady gmin wiejskich i Rady miejskie; wybiera on Wydział powiatowy z 6 członków i 3 zastępców, który pod przewodnictwem naczelnika powiatu (starosty, komisarza powiatowego) stanowi właściwą władzę powiatową.

Ustrój władz ziemskich jest podobny. Sejmiki powiatowe wybierają Sejmik ziemski z 30 członków i 15 zastępców, ten zaś Radę ziemską z 9 członków, która pod przewodnictwem Prezydenta ziemi tworzy właściwą władzę ziemską.

Tym sposobem da się osiągnąć tę ważną korzyść, że do organów wyższych jednostek administracyjnych — zwłaszcza o ile chodzi o ciała uchwalające i kontrolujące — wprowadzi się osoby, obznajomione bezpośrednio z miejscowemi potrzebami, schodząc w dół aż do gminy. Byłoby zaś już rzeczą gminnych ustaw wyborczych stworzyć dla tego ustroju zasady, zgodne i z duchem nowożytnego państwa i z miarodajnymi pod tym względem stosunkami w kraju. Tą drogą można w obrębie ziemi zapewnić ciągłe i bezpośrednie zrozumienie potrzeb całego obszaru administracyjnego i złączyć z sobą pracowników, czynnych w jego granicach w różnych jednostkach administracyjnych.

Z ustępu „deklaracyi konstytucyjnej“ rządu z 3 maja br. wynika, że obecny rząd oświadcza się tylko za samorządem gminnym i powiatowym. Nie wspominając ani słowa o samorządzie ziemskim, deklaracya każe przypuszczać, że rządowi jest obcym podział na jednostki administracyjne, wyższe od powiatów. O znaczeniu wprowadzenia takich jednostek pomówimy niżej, tu wypadnie tylko zauważyć, że deklaracya milczy, jak sobie ten samorząd gminny i powiatowy wyobraża. Otóż należy pamiętać o słowach Toqueville'a, że bez instytucyi samorządowych może sobie naród nadać rząd wolnościowy, ducha wolności jednak posiadać nie może. Chodzi jednak o to, żeby samorząd był z jednej strony należycie rozwinięty i rozbudowany, z drugiej zaś strony nie był uważany za czynnik, który ma się wysuwać przeciwko organom rządowym, bo w państwie narodowem, własnem, opartem na zasadach demokratycznych, samorząd powinien niejako wróść w samą organizacyę autorytetu państwowego, stać się jednym z jego zasadniczych elementów, czynnikiem równoważącym, sprzęgającym rządzący autorytet z rządzonymi w imię zachowania i rozwoju organizacyi państwowej, jako organizacyi społecznej o celach ogólnych,

powszechnej i przymusowej. Wszelkie inne rozwiązanie kwestyi nie prowadzi do celu, czyto będzie we formie fatalnego dualizmu władz, jak to było np. w dawnej Austryi, czy też na wzór angielski, gdzie prawie zupełna wyłączność władz samorządnych, będąca wynikiem szczególnego rozwoju historycznego, zmuszała do podejmowania w XIX wieku kilkakrotnych prób reformy, a Local Government Board powstał z konieczności bodaj częściowego ujednostajnienia administracyi u dołu.

c) Tok instancyi powinien się w zasadzie wyczerpywać w drugiej instancyi i dlatego właśnie konieczną jest rzeczą wprowadzić podział kraju na ziemie. Gdyby chciano tę ze wszechmiar słuszną i pożyteczną zasadę zastosować tylko przy podziale państwa na powiaty, to rezultat byłby ten, że ministerstwa musiałyby się zajmować olbrzymiem mnóstwem spraw bieżącej administracyi, coby miało ten skutek, że sprawy musiałyby zalegać długo ze szkodą i ludności i administracyi, aparat urzędniczy w ministerstwach musiałby być ponad miarę liczny, coby podrażało w wysokim stopniu administracyę, a mimo to wszystko sprawy w państwie, które zlało się z rozdartych niegdyś przemocą części, w których wytworzyły się odrębne stosunki gospodarcze, społeczne i kulturalne i gdzie jeszcze siłą rzeczy będzie panowało odrębne ustawodawstwo administracyjne, nie będą mogły być załatwione dobrze w centralnych władzach, bo znajomość ustaw i faktów, choćby najlepsza, najsumienniejsza, nie jest w stanie zastąpić w administracyi bezpośredniej znajomości życia, stosunków miejscowych i potrzeb ludności. Są to względy pierwszorzędnej wagi, których nie wolno spuszczać z oka przy urządzeniu administracyi państwowej.

d) Postępowanie administracyjne powinno zapobiegać przewlekłemu załatwianiu spraw przez władze administracyjne. W tym celu należałoby nawet co do spraw, wyjętych z pod kompetencyi sądownictwa administracyjnego, wprowadzić posiłkową kompetencyę sądów administracyjnych przez danie stronom prawa zaskarżenia do trybunału administracyjnego zaczepionego rekursem orzeczenia lub rozstrzygnięcia władzy administracyjnej, gdyby rekurs, wniesiony przez nią do wyższej instancyi administracyjnej, nie został załatwiony w ciągu pewnego, ustawą oznaczonego czasu. Dla drobniejszych spraw należy wprowadzić postępowanie mandatowe.

e) W pewnych sprawach, jak kierownictwo policyi, sprawy rekrutacyi i uruchomienia wojsk, zapobieganie uszkodzeniom osób

i mienia i t. d., a więc w sprawach, wymagających szybkiego działania, należałoby pod ustawowemi kautelami pozostawić naczelnikom jednostek administracyjnych samodzielność w potrzebnym zakresie.

3. Wreszcie zasadzie sprawiedliwego rządu powinien ustrój administracyi państwowej uczynić zadość zapomocą następujących środków:

a) Przez wprowadzenie sądów administracyjnych. Należałoby wybudować cały system sądownictwa administracyjnego, mianowicie ziemskie sądy administracyjne w siedzibach prezydentów ziemi, złożone częściowo ze sędziów i urzędników administracyjnych, a częściowo z czynników obywatelskich, tudzież najwyższy trybunał administracyjny. Jak dotąd, to rząd polski poza koniecznością stworzenia przy Najwyższym Sądzie osobnej Izby w miejsce austryackiego Trybunału administracyjnego dla spraw z dawnego zaboru austryackiego, nie objawił na tem polu najmniejszej inicyatywy. Być może, że odgrywają tutaj jakąś rolę przykłady, czerpane z Anglii. Gdyby jednak tak być miało, to trzeba podnieść, że niema nic niebezpieczniejszego, jak bezkrytyczne przeszczepianie angielskich urządzeń, które są zazwyczaj wypływem długiego i całkiem specyficznego rozwoju historycznego i na które zresztą sami Anglicy zapatrują się częstokroć z wielką dozą objektywnego krytycyzmu. Specyalnie zaś w odniesieniu do sądownictwa administracyjnego jest rzeczą charakterystyczną, że profesor Percy Ashley w swej książce o zarządzie centralnym i lokalnym cytuje bez słowa sprzeciwu następujące wywody amerykańskiego uczonego, Goodnow'a: „Wynikiem szczególnego stanowiska administracyi, występującej w charakterze reprezentantów władzy naczelnej, jest to, że prawa, regulujące stosunki, w jakie wchodzi w tym właśnie charakterze, są zupełnie odmienne pod wielu względami od prawa prywatnego... Stosunki, w jakie wchodzi administracya, nie są stosunkami, opartymi na umowie, ale wypływają z obowiązków i praw, nadanych jej przez prawodawstwo, będące reprezentantem władzy zwierzchniczej... Jeżeli więc stosunki pomiędzy administracyą a obywatelami są odmienne od tych, jakie zachodzą pomiędzy samymi obywatelami, to nie jest niesłusznem, by regulujące je prawa były cokolwiek inne, a w takim razie należy się, by wynikające z nich sprawy były rozstrzygane przez odrębnych sędziów. Zwykli sędziowie bowiem mają ogólnie do

czynienia ze sprawami, wynikającemi z prawa cywilnego i stają się skutkiem tego skłonni tak, jak to ma miejsce w Anglii, do stosowania tychsamych zasad w sprawach, dotyczących prawa publicznego; podobne postępowanie może w takich wypadkach obniżać sprawność działania administracyi i utrudniać osiąganie tych zadań, dla jakich ona istnieje".

b) Oddanie nawet spraw, wyjętych z pod kompetencyi sądów administracyjnych — z wyjątkiem chyba nielicznych spraw, wymagających wyjątkowo szybkiego działania — pod rozpatrywanie przy współudziale czynników obywatelskich przynajmniej w jednej instancyi.

c) Umożliwienie zaskarżenia przed sądem administracyjnym wypadków naruszenia prawa przez organa administracyjne na wzór francuskiego *recours pour excès de pouvoir,* a to z ewentualnem rozciągnięciem go nawet na te wypadki, które w terminologii Conseil d'État są objęte określeniem *détournement de pouvoir.*

d) Przez wprowadzenie prawno-prywatnej odpowiedzialności organów administracyjnych w razie naruszenia prawa przez przekroczenie urzędowego obowiązku i wyrządzenie przez to stronie szkody.

W końcu wypada zauważyć, że oddzielenie administracyi szkolnej i skarbowej we wszystkich instancyach jest, zwłaszcza co do ostatniej, rzeczą, nadającą się do dyskusyi. Należy jednak z całym naciskiem przestrzedz przed dalszemi próbami tworzenia u dołu odrębnych instancyi administracyjnych z ramienia poszczególnych ministerstw, bo wtedy okólniki ministeryalne, kreślące w pięknych słowach rolę komisarzy powiatowych, jako gospodarzy powiatu, nie zapobiegną zamętowi, za któryby musiał naród grubo zapłacić.

Kazimierz Wł. Kumaniecki.

Beaumarchais — Słowacki.

Drugą, najśmielszą i omal nie genialną komedyę wielce zajmującej trylogii o Figarze, *Le Mariage de Figaro*, ożywił Beaumarchais całym zastępem domowników, którzy otoczyli hrabiego Almavivę w nowej rezydencyi wiejskiej, a w *Cyruliku Sewilskim* nie występowali, mianowicie Zuzanną pokojówką Hrabiny, Antoniem ogrodnikiem zamkowym, Fanchettą jego córką itd. Największy urok wśród tych figur posiada Cherubin, pierwszy paź hr. Almavivy. Jest to chłopiec 13-letni, na przełomie od chłopięctwa do wieku młodocianego, żywy, żwawy, gorączkowy, z głosikiem słodkim i srebrnym, do wszystkich się wdzięczący i przez wszystkich kochany i całemu otoczeniu światła swej duszy i radości życia udzielający. Jest on synem chrzestnym Hrabiny i jakimś jej powinowatym. Niepokój i nieokreśloność stanowi podkład jego charakteru. Kwiat, wybujały przed rozkwitem, unosi się tkliwością i słodyczą, która nie jest ani przyjaźnią, ani miłością, ale czemś pośredniem, napół dziecinnem, a już zmysłowem i zuchwałem. Serce jego bije żywiej na widok każdego dziewczęcia, każdej pani; wyrazy „miłość i rozkosz“ wstrząsają i mącą jego pożądania. Od niedawnego czasu uczuwa potrzebę powiedzieć każdej kobiecie, że ją kocha; mówi to do drzew, w samotności i każdemu, komu ufa. Kocha się we wszystkich osobnikach płci żeńskiej w Aguas Frescas; w 12 letniej Fanchette, bo jego oświadczenia skwapliwie przyjmuje; w pokojówce Hrabiny Zuzannie, bo jest panną na wydaniu; podziwia zaś gorąco i wielbi serdecznie Hrabinę, dawną Rosinę z *Cyrulika Sewilskiego*, bo jest piękną, szlachetną i wspaniałą, jak powiada. Swoją matkę chrzestną uważa za jakieś nadziemskie zjawisko, patrzy na nią z bojaźnią i uszanowaniem i po-

łyka upojonemi oczyma, gdy jej usługuje przy stole. Zazdrości on pokojówce, że każdej chwili może na ideał jego serca patrzyć, rozmawiać z nią, ubierać rano i wieczór. Hrabina stroiła się czasem zalotnie ze względu na chłopca. Mąż, gdy to spostrzegł, z zazdrości postanowił go usunąć z dworu. Możnaby go nazwać *cherubino d'amore*, małym libertynem w zakresie uczuć erotycznych.

Gdy się pojawia na scenie, Hrabia spotyka go u Fanchetty, ale ta ukrywa go pod portyerą u wejścia, skąd go dopiero Hrabia wyciągnął i zagroził wydaleniem z pałacu. Żali się na to przed Zuzanną i wyrywa jej wstążkę z czepka Hrabiny, aby mieć pamiątkę i promień radości na wygnaniu. Gdy Zuzanna na ten figiel się zgniewała, przystawił stołka i chciał ją całować, żeby o kradzieży zapomniała. Wtem wszedł Hrabia i trzeba go było ponownie ukryć pod zasłoną na fotelu. Na nieszczęście Hrabia siadł właśnie na fotelu i nastąpiło drugie zdemaskowanie psotnika. Wielki corregidor Andaluzyi postanawia pazia stanowczo odesłać do rodziców, ale Hrabina wybłagała przebaczenie i został oficerem w pułku Almavivy. Niemniej otrzymał rozkaz natychmiastowego wyjazdu do pułku, ale Figaro namówił go, żeby został na jego weselu, a wyjazd pozorny dla zmylenia poszlak urządził.

Ucieszne epizody z pobytu pazia u Fanchetty i Zuzanny przygotowały główne wystąpienie Cherubina w sztuce, na pokojach Hrabiny. Figaro bowiem miał rachunki z panem i postanowił Cherubina przebrać za Zuzannę, żeby zamiast niej poszedł na schadzkę z Hrabią. Ta schadzka była mu potrzebną dla uzyskania przyzwolenia Almavivy na małżeństwo z Zuzanną. Rolę Cherubina odgrywały w XVIII w. najpiękniejsze panny, bo tak młodych chłopców nie posiadano w personalu teatralnym. Stąd też przebieranie pazia za pannę stanowiło zazwyczaj zajmującą scenę przedstawienia błyskotliwej komedyi francuskiej. Przed przebraniem za Zuzannę, śpiewa przed Hrabiną przepiękną romancę *Mon coursier hors d'haleine* na jej cześć ułożoną. Wśród ubierania zaś odkrywa się wstążka Hrabiny na jego zranionem ramieniu, a Hrabina, odebrawszy ją, nalepia delikatnie plaster angielski na zranione miejsce, i wtedy omal nie przychodzi do wyznania miłości ze strony zuchwałego chłopca.

I tę scenkę wysoce poufałą i poetyczną miał przerwać zazdrosny Hrabia. Krzyżuje on wszystkie zaloty Cherubina i do najśmielszych poświęceń go pobudza. Paź ukrywa się w alkowie Hra-

biny, a słysząc przez drzwi gwałtowny wybuch zazdrości u Almavivy, całuje Zuzannę i wyskakuje oknem, aby nie narazić dobrej sławy swej matki chrzestnej. Odtąd wstążka od niego odebrana stała się drogą Hrabinie, schowała ją za gorset i dopiero przy ostatniem pożegnaniu miała się dostać ponownie w ręce Cherubina.

Po tym heroicznym czynie zjawia się paź po raz czwarty na scenie w gronie dziewcząt wiejskich przebrany za pasterkę i wręcza Hrabinie bukiet, który ona całuje. Paź wyraża żal, że całus nie dostał się ofiarodawcy. Ale Hrabia odkrywa go także w tem przebraniu. Hrabina i Fanchetto uzyskują dlań ponowne przebaczenie. Niemniej, gdy konieczność opuszczenia zamku ostatecznie się zbliżyła, wyrusza rezolutnie na wygnanie i oświadcza, że zabiera szczęście na sto lat więzienia. Ale i tym razem rozłąka z dworem poszła mu z trudnością, i chroni się do parku, do t. zw. pawilonu Kasztanowego. Tu doznaje nowych przygód i niespodzianek, aż ostatecznie Hrabia odnajduje go także w pawilonie, a następnie godzi się z żoną i na małżeństwo Figara z Zuzanną przyzwala. W tej chwili Hrabina wydobywa zabraną mu wstążkę i na nagrodę dla nowożeńców przeznacza. Cherubin zgrabnie ją podchwytuje i z tryumfem przyswaja i z chełpliwością oznajmia *Que celui qui la veut vienne me la disputer?* W końcu z innemi osobami sztuki śpiewa kuplet na cześć płci pięknej *„Sexe aimé, sexe volage“*.

Niezwykła ta postać, pełna poezyi i francuskiego wykwintu, poraz pierwszy zauważona i na teatr wprowadzona przez Beaumarchais'go, zdobyła sobie szturmem sympatyę publiczności teatralnej, i już w XVIII w. przepadały za nią wszystkie panie paryskie. Zauważył ją także Słowacki i przeniósł z zamku Agnas Frescas na zamek Holy Rood w otoczenie królowej Maryi Stuart. Paź w dramacie *Marya Stuart* jest także dziecinny, czupurny, przenikliwy, nad wiek rozwinięty. Kocha się chłopięcą miłością w królowej, mówi o niej z bezkrytycznem uniesieniem, służy z największem oddaniem i po kątach roztkliwia nad budzącem się w swem sercu uczuciem. Nie ma on tak wybitnej roli u Słowackiego, jak w *Weselu Figara*, ale zawsze jest postacią niezwykłą, pełną poezyi i przez każdego widza zawsze z sympatyą witaną. Gdy się pojawia na scenie, opowiada o podburzaniu ludu przez Knoxa i zniszczeniu kaplicy królewskiej i pisze dekret o ukaraniu bun-

towników. Słowacki zupełnie samodzielnie kształtuje jego występy na scenie i do osnowy swej sztuki wprowadza. Wraca on od Astrologa i ma donieść królowej, że Rizzio dziś zginie. Tu poznajemy po raz pierwszy, że się kocha w królowej, przenika jej myśli i czuje się z stanowiska pazia nader szczęśliwy. Tu zarazem po raz pierwszy daje się odczuć pewna zależność tekstu Słowackiego od Beaumarchais'go:

Cherubin do Zuzanny:

Mais que tu es heureuse! à tous moments la voir, lui parler, l'habiller le matins et la deshabiller le soir, épingle à épingle [1]).

Paż do Astrologa:

Taki jestem szczęśliwy! Dzień cały od rana
Przepędzam przy jej stopach, nieraz na kolana
Spadała mi róża napół zwiędła z jej czoła;
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem [2]).

W innej scenie aktu II. paż przypomina królowej wczorajsze polowanie i opisuje powrót łodziami z wycieczki, aby zaznaczyć uczucia Botwela dla Maryi. Na wspomnienie możebności opuszczenia dworu zalewa się łzami, jak Cherubin, gdy hr. Almaviva postanowił go usunąć z zamku. Miejsce to przypomina zlekka odnośny ustęp z *Wesela Figara:*

Cherubin do Zuzanny:

Cherubin piteusement: Susanne, il me renvoie (II. 198).

Paż do Maryi: Dziecinne łzy ronię (V. 101).

W akcie III. widzimy pazia w posyłce do Botwela, marzącego w przejściu przez ogród o Królowej, jako o róży, piękniejszej od róż w parku. Uwięziony nagle przez Lindsaja, gdy biegł z odpowiedzią Rizzia do królowej, chce się zaraz pojedynkować i zdobywa się na rezolutną odpowiedź napastnikom: *„Żeby nie zdradził? Od was nauczę się zdradzać“* (V. 113), która przypomina czupurne wyzwanie Cherubina przy podniesieniu wstążki Hrabiny: *„Que celui qui la veut vienne me la disputer“* (II. 354).

---

[1]) Beaumarchais, Oouvres choises. Paris 1812, II., 199.
[2]) Słowacki, Dzieła, Lwów 1909, V., 95.

Występy pazia w otoczeniu królowej i w posyłkach rozmaitych od dworu służyły tylko do określenia poufałego stanowiska, jakie przy Maryi miał zająć. W akcie V. stosunek jego do królowej ostatecznie się wyjaśnia. Dla rozweselenia Maryi, wyczekującej w nocy na odwiedziny Botwela, deklamuje „dziecinnym głosem“ balladę szkocką: „*Quhy dois hour brand sae drap wi' bluid*“, „*Synu mój synu, czemu od rana*“, która budzi w sercu słuchaczki niepokojące domysły (V, 148). Sytuacya ta jest najdokładniej powtórzona z *Wesela Figara*, gdy Cherubin śpiewa swą romancę: „*Mon coursier hors d'haleine*“ (II., 227).

Paź Słowackiego pozostaje następnie na scenie podczas całej wizyty Botwela, a po jego odejściu następuje ostatni i najczulszy moment w jego życiu. Uspokaja on serdecznie halucynacye Maryi przed spełnieniem zbrodni Botwela i niespodzianie pada otruty przez nowego regenta Szkocyi. W chwili tej następuje wyznanie miłości omal nie jak w *Weselu Figara*, gdy po prześpiewaniu romansy Hrabina zaopatruje ranę Cherubina. Słowa polskiego dramatu:

Paź. Królowo, kochasz mnie.
Marya. Jak syna.
Paziu, obudź się drogi, weź tę kroplę wina.
Paź. Już piłem dziś wino, Maryo moja (V, 158).

należy zbliżyć do wyniku dyalogu w pierwowzorze:

Cherubin: Sur de mourir à l'instant, peut-être ma bouche oserait...

La Comtesse: Taisez-vous, taisez-vous, mon enfant (II, 233).

Jak widzimy, paź Słowackiego jest kopią pazia Beaumarchais'go, dostosowaną do nowego pomysłu, w której dwie sytuacye zwłaszcza: śpiewania romancy i wyznania miłosnego podczas bolesnego rozstania znalazły szczególnie wyraźne echo.

Paź Beaumarchais'go był pamiętną postacią imaginacyi Słowackiego, i, gdy w cztery lata potem pisał nową tragedyę o rzeczywistym paziu polskiej historyi *Mazepie*, znów go przypomniał i ponownie w odmienny sposób w swej sztuce zużytkował. Metodą, znaną nam z studyów nad Szekspirem [1]), Słowacki rozkładał ulu-

---

[1]) Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego, Kraków 1910, str. 230.

bione sztuki na kilka wątków i sytuacyi dramatycznych i następnie wplatał celowo w samodzielnie przez się komponowane utwory. Dramata swe kombinował nie z jednej, ale z kilku sztuk, i to niekoniecznie jednego autora — a *Mazepę* tak silnie przepełnił reminiscencyami z *Otella, Powieści zimowej* i nadzwyczaj efektownej tragedyi Wiktora Hugo p. t.: *Angelo Tyran de Padoue* [1]), że wpływ Beaumarchais'go na tę kompozycyę mógł ulec zupełnemu zatarciu. Jakoż zrazu zależność *Mazepy* od *Wesela Figara* niezbyt uderza. Zabawa ogrodowa, iluminacya zamku Wojewody, a następnie tańce na przyjęcie Króla w tragedyi polskiej mają zapewne jakąś daleką łączność z zabawami ogrodowemi i iluminacyą w ostatnim akcie *Wesela Figara.* Także wycieczki nocne Króla i Mazepy pod balkon Wojewodziny w przebraniu, a nawet poranienie Króla miasto Mazepy, mają pewne idealne, choć odległe podobieństwo z wycieczkami nocnemi Hrabiego i Cherubina do pawilonu kasztanowego i niespodziankami, jakich wszyscy mieszkańcy zamku w erotycznych eskapadach doznają. Ale to są przypomnienia dalekie, mgliste, niebardzo przekonywujące, na które nie zwróciłoby się najmniejszej uwagi, gdyby nie oczywiste naśladownictwo słynnych scen wybuchu zazdrości małżeńskiej z aktu II. *Wesela Figara,* które znalazły wyraźne odbicie w ostatniej scenie III. aktu *Mazepy.*

U Beaumarchais'go śliczne sceny śpiewania romancy i zaopatrywania rany Cherubina przez Hrabinę poprzedza gwałtowny i uderzający zarówno na scenie jak w czytaniu wybuch zazdrości małżeńskiej u hr. Almavivy. W obu utworach, francuskim i polskim, zazdrośni małżonkowie ścigają paziów, którzy się ukryli w alkowach żon. W *Otellu* i *Powieści zimowej* takiej sceny niema, a w *Weselu Figara* jest drobiazgowo opracowana, szczegółowo wyłuszczona i starannie inscenizowana, tak, że stanowi wzór rodzajowy sytuacyi i każdemu dramaturgowi siłą faktu się narzuca. Jakoż w stosownych miejscach nie zaniechali z niej skorzystać zarówno Wiktor Hugo, jak Słowacki. Beaumarchais w mistrzowski sposób scenę tę rozprowadza i coraz nowe niespodzianki gotuje. U niego Hrabia, wszedłszy do pokoju żony, usprawiedliwia swój krok, a Hrabina udaje, jakoby pazia w alkowie nie było. Tymczasem z alkowy słychać szmer, a Hrabina objaśnia, że to pokojówka, a zarazem

---

[1]) Kielski, „Ślady wpływów Wikt. Hugo w dramatach Słowackiego", Księga pamiątkowa, Lwów 1909, t. I.

nakazuje jej, żeby się nie odzywała. Wtedy mąż zamyśla drzwi wyważyć, ale żona błaga go, żeby skandalu nie czynił. Zaślepiony małżonek wybiega po narzędzia do otwierania i przyniósłszy je, domaga się powtórnie otwarcia alkowy. Przyciśnięta ostatecznością żona uprasza ponownie, aby mąż od niej tego poświęcenia nie wymagał, a wreszcie przyznaje, że tam się przecież paź ukrywa. Natenczas Hrabia woła na pazia, aby wyszedł, a Hrabina przerażona wyznaje, że paź tam jest, ale w przebraniu za dziewczynę. Hrabia do najwyższego stopnia oburzony, żąda wydania klucza i wreszcie wśród płaczu żony go uzyskuje, a wtedy pokazuje się, że tam nie było już pazia, tylko pokojówka Hrabiny (akt II., scena 12, 13, 16).

U Słowackiego analogiczna scena stanowi zakończenie III. aktu i z następnemi scenami bezpośrednio się nie łączy. Różnica zasadnicza w przeprowadzeniu tej sceny przez naszego poetę jest ta, że ofiara zazdrości małżeńskiej w polskim utworze nie przypuszcza nawet, żeby się ktoś obcy w jej alkowie znajdował, kiedy Hrabina Beaumarchais'go wie doskonale, kto się w niej ukrywa. Jest to odmianka sytuacyi, która pewną różnicę w przeprowadzeniu tej sceny powoduje i do podniesienia tragizmu u jednej z uczestniczących osób się przyczynia — niemniej podobieństwa przebiegu szału u głównych bohaterów nie niszczy. U Słowackiego podczas pożegnania Zbigniewa z Amelią wchodzi Wojewoda i stawia straż przy drzwiach. Zbigniew prosi ojca, aby macosze nie czynił ujmy na honorze. Wojewoda jednak każe przeszukać alkowę i zarzuca żonie, że ukryła w niej gacha. Wtedy Zbigniew dobywa szabli i zabrania służbie postąpić, a ojcu grozi samobójstwem, jeśli się nie cofnie. Wtem słychać szelest w alkowie, ale Zbigniew mimo tego nie dopuszcza nikomu wejść do alkowy. Widząc stanowczość syna, Wojewoda zgadza się odstąpić od przeszukania alkowy, ale żąda przysięgi, że niema w niej nikogo. Zbigniew i Amelia ją składają, a wtedy Wojewoda każe wejście do alkowy zamurować. Gdy się to dzieje, Amelia prosi męża bezskutecznie o pozwolenie wejścia do alkowy dla zabrania konterfektu matki. Po zamurowaniu zaś Zbigniew odkrywa wachlarz z korespondencyą Mazepy, a Wojewoda żonę omdlałą wyciąga za rękę z komnaty. (Akt III., sc. 4).

Że jeden utwór jest tragedyą, a drugi komedyą i że odmienny cel innego przeprowadzenia tych samych scen wymaga — nad tem nie będziemy się zastanawiać, bo o to nam na razie nie

chodzi. Wskazujemy tylko, że w obu tych utworach mamy walkę o wejście do alkowy kobiecej. Zazdrosny mąż chce koniecznie do niej wejść, ale zaskoczone wypadkami żony powstrzymują małżonków od tego kroku, utrzymując, że to przyniosłoby wielką ujmę ich godności niewieściej. U Beaumarchais'go znieważona żona znajduje pomoc w pokojówce — u Słowackiego wsparcia Amelii udziela rycerski pasierb. Szelest w alkowie wprowadza niejaką niepewność u obrońców wejścia. To są właściwe podobieństwa w przeprowadzeniu tej sceny u Beaumarchais'go i Słowackiego, skupiające się w tych samych, a równie sprzecznych interesach trzech wprowadzonych osób, tj. pazia kryjącego się w alkowie, zazdrosnego męża, pragnącego do niej wejść i żony, broniącej się od znieważenia domowego sanktuaryum. W ramach tych podobieństw zamykają się wszystkie analogie i reminiscencye, a zaczynają się różnice, których istotę można ocenić najlepiej z momentu, zakończającego tę drażliwą sytuacyę. U Beaumarchais'go bowiem rozwiązanie małżeńskiego sporu stanowi konieczne *qui pro quo* — u Słowackiego jest ono w tragiczny sposób zaostrzone i przesadnym efektem romantycznego dramaturga zakończone.

Naturalnie wielkie podobieństwo sytuacyi wywołało także liczne podobieństwa dyalogu, z których wybierzemy kilka urywków, wcale wybitnie o siebie zahaczających przy porównywaniu tekstów, a mianowicie:

1. Le Comte. Quel bruit entends-je? (236). — Wojewode. Bo ja aż tu słyszałem (326).

2. La Comtesse. Je... je n'ai rien entendu, pour moi.. — Zbigniew. Nie, ja nic nie słyszałem, nic.

3. Le Comte. Il y a quelqu' un dans ce cabinet, madame. — Wojewoda. Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

4. La Comte s'avance au cabinet. Oh bien! puisqu'elle ne parle pas, vête on non je la verrai (238). — Wojewoda. Przysięgam, że Waćpani gach jak mucha zginie. Panie Chmara, poszukać w alkowie (324).

5. La Comtesse se met au-devant. Partout ailleurs je ne puis l'empêcher, mais j'espère aussi chez moi. — Amelia zatrzymując Chmarę. Stój Wasze! Pierwej w tych piersiach srogie utopcie pałasze, nim dotkniecie firanek.

6. La Comtesse. En verité, monsieur, voilà bien la plus

odieuse aventure (239). — Amelia. Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiety (326).

7. La Comtesse. Arrêtez, monsieur, je vous prie. Me croyez-vous capable de manquer à ce que je me dois? (241) — Amelia. Litości panie, niechaj twa zaciętość zmięknie (327).

8. Le Comte. Et vous vouliez garder votre chambre! Indigne épouse! ah! vous la garderez... long-temps (243). — Wojewoda. Na Boga ran siedmioro! wybieg bardzo gładki... Rozwiedźmy się pani, tę obrączkę złotą Odbierzesz cudzołożna żono w konsystorzu! (331).

Echa *Wesela Figara* w *Maryi Stuart* i *Mazepie* pozwalają nam poczynić kilka interesujących uwag, tyczących się biografii twórczej i psychologii artystycznej Słowackiego. Przedewszystkiem stwierdzić wypada, że do repertuaru jego warszawskich wzorów literackich należy dodać Beaumarchais'go, a zapewne jeszcze innych poetów francuskich, od których wpływu starał się następnie wyłamać przez studyum angielszczyzny, a mianowicie Byrona i Szekspira w oryginale; powtóre pokazuje się, że po skończeniu *Maryi Stuart* zarysowała się w jego imaginacyi twórczej zapewne w niezbyt odległym okresie czasu tragedya o *Mazepie* — czy w Warszawie, czy w Genewie, nie będziemy naturalnie orzekać. W każdym razie utwory powstałe w międzyczasie i nasunięte rozmaitymi względami natury biograficznej lub artystycznej, jako to *Żmija, Lambro, Kordyan,* nie przerwały postanowienia, powziętego jeszcze w Warszawie, żeby się stać przedewszystkiem polskim pisarzem dramatycznym. Jest to niespodziane objaśnienie motywów jego usilnej pracy artystycznej w Genewie. Twórczość dramatyczna genewska nie jest tak stanowczo oddzieloną od twórczości warszawskiej, jak się to na pozór z biografii wydaje. Łączy je jedność ubocznego wzoru, zużytkowanego w ostatnim dramacie warszawskim i pierwszym genewskim, którą sprowadziło upodobanie artysty w naszym paziu Beaumarchais'go. *Et toujours le page enviable!* — jak powiada hr. Almaviva.

Stanisław Windakiewicz.

O przyszły ustrój szkolnictwa polskiego.

Co do zagadnienia, jaki ma być ustrój szkolnictwa naszego w przyszłości, ścierają się dwa prądy: jeden pragnie oprzeć się na dotychczasowej organizacyi szkolnej, odpowiednio przekształconej i dostosowanej do nowych warunków bytu, słowem zmodernizowanej, drugi zaś dąży do wprowadzenia u nas całkiem nowego ustroju, dotąd nigdzie należycie nie wypróbowanego, a zatem budzącego wiele wątpliwości i obaw. Przedstawicielami tego ostatniego kierunku są: Warszawska Komisya pedagogiczna Stowarzyszenia Nauczycielstwa polskiego, Ministerstwo w. r. i o. p. i Rada przy Ministerstwie. Projekt, z jakim wystąpiła Komisya pedagogiczna niespełna przed dwoma laty, wprowadza w miejsce dzisiejszej 8-klasowej szkoły średniej szkołę średnią 4-klasową, odpowiadającą czterem wyższym klasom gimnazyalnym; cztery zaś klasy niższe — naturalnie bez łaciny i greki — łączy ze szkołą ludową w jedną całość pod nazwą 7-letniej szkoły powszechnej. Po ukończeniu tej ostatniej uczeń miałby dopiero prawo wstąpić do szkoły średniej, czy to formalnie kształcącej, czy to zawodowej.

Rzecz jasna, każdy z nas pyta o cel i korzyści tak radykalnej przemiany obecnego ustroju szkolnego. Na to odpowiadają nam dwoma argumentami: 1) podniesie się przez to oświatę w społeczeństwie na ten poziom wykształcenia, jakie daje niższa szkoła średnia; 2) stosownie do jednolitego rozwoju psychologicznego młodzieży między 7. a 14. rokiem życia wprowadzi się również jednolitość w nauczaniu szkolnem.

Oba te argumenty trafiały do przekonania dopóty, dopóki nie zaczęto się w nie wgłębiać i zbliska im się przypatrywać. W miarę wmyślania się w projektowaną organizacyę stawały co-

raz jaśniej przed oczyma trudności i niebezpieczeństwa, z niej wynikające, a przytem wyłaniały się także błędy w samem opracowaniu nakreślonego planu.

Myśl przewodnia planu warszawskiego wymagała, aby główny położyć nacisk na ostatnie klasy szkoły powszechnej i niemi przedewszystkiem się zająć. One to bowiem miały nie tylko zaszczepiać i ugruntowywać wyższą oświatę w jaknajszerszych warstwach ludowych, lecz także równocześnie stanowić pewną i silną podwalinę pod budowę i rozwój nauki, w szkole średniej nowego typu. Ułożenie atoli programu naukowego, któryby zadość czynił temu podwójnemu celowi nauki, jest rzeczą niesłychanie trudną. Wszak każdy, choćby tylko cokolwiek obeznany z nauczaniem w 8-klasowej szkole średniej, przyznać musi, że pewne wiadomości, niezbędne do podbudowy dla nauki w wyższych klasach tejże szkoły, nie zawsze byłyby potrzebne, a może nieraz zupełnie zbyteczne dla przyszłego obywatela, który po ukończeniu szkoły powszechnej zwróciłby się wprost do życia praktycznego. Prawda, że tak w niższej szkole średniej, jak i w wyższych klasach szkoły powszechnej chodzi przedewszystkiem o wykształcenie formalne, ale kształcenie takie nie da się odłączyć od kształcenia materyalnego. Oba te kierunki łączą się ze sobą w jedną całość i splatają w ścisły, nierozerwalny związek. Nie może być dwóch zdań co do tego, że na innych nieco wiadomościach należy kształcić i rozwijać umysł młodzieży, która na 7-letniej szkole powszechnej kończyć będzie ogólną swą naukę teoretyczną, a na innych nieco wiadomościach trzeba oprzeć kształcenie i rozwój umysłowy tych uczniów, którzy zamierzają poświęcić się dalszym studyom naukowym.

Żeby bezskutecznie nie łamać sobie nad tem głowy, jak ułożyć program, któryby odpowiadał zarówno celowi szkoły powszechnej, jak i celowi niższej szkoły średniej, w ostatnich czasach głosi się już otwarcie zdanie, że szkoła powszechna jest zamkniętą w sobie całością i ma na oku cel własny, którego nie można podporządkowywać celowi szkoły średniej. Owszem, zdaniem niektórych, szkoła średnia powinna się stosować do szkoły powszechnej, jako do swej podstawy, zwłaszcza że do tej drugiej uczęszcza ogół młodzieży polskiej, natomiast do pier-

wszej udaje się zaledwie mały, nieznaczny jej procent. Czyste doktrynerstwo. Wszak właśnie dlatego, że studyom średnim poświęca się stosunkowo bardzo niewielka ilość młodzieży, niema najmniejszego powodu, żeby poziom nauki w wyższych klasach dzisiejszej szkoły średniej uzależniać od programowego materyału nauki w szkole powszechnej. Szkoła średnia jest również jednostką zamkniętą w sobie, podobnie jak szkoła powszechna, i zadanie swoje spełni należycie jedynie wtedy, jeśli ścisłą zachowa spójnię między niższym i wyższym stopniem nauki, a zatem jeśli program naukowy klas niższych będzie pozostawał w organicznym związku z programem klas wyższych i jeśli młodzież w klasach niższych otrzyma stosowne i dostateczne przygotowanie do korzystania z nauki w klasach wyższych. Tymczasem o ułożeniu dla szkół powszechnych takiego programu naukowego, któryby równocześnie zaspakajał wymagania niższej szkoły średniej, niema faktycznie mowy. A przytem nie da się także zaprzeczyć, że pod względem ścisłości wymagań naukowych szkoła w rzeczywistości inaczej traktuje uczniów, mających bezpośrednio zwrócić się do zajęć praktycznych, a inaczej tych, którzy pragną nadal oddawać się pracy umysłowej. Rzecz naturalna, że szkoła powszechna będzie miała do czynienia głównie z młodzieżą, należącą do kategoryi pierwszej i nią przedewszystkiem — zresztą zupełnie słusznie — będzie się zajmowała, a nie tą drugą. To też nasuwa się pytanie, co będzie z uczniami, którzy wstąpią do szkoły średniej nowego typu, nie posiadając do niej dostatecznego przygotowania. Czy ewentualnie poziomu nauki nie trzeba tu znacznie obniżyć, aby dostosować się do warunków rzeczywistych? A w następstwie, czy nie wytworzy się przez to sytuacya dla wyższej kultury umysłowej narodu wcale niepożądana i szkodliwa?

Stosunek tedy 7-letniej szkoły powszechnej do 4-klasowej szkoły klasowej średniej nowego typu stanowi zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Dopóki zagadnienia tego autorowie projetu warszawskiego nie rozwiążą w sposób zadawalniający, dopóki argumentami trafnymi i przekonywującymi nie dowiodą niezawodnych korzyści, wynikających z ich pomysłu, dopóty projektowana organizacya pozostanie li tylko produktem dyletantyzmu i jako taka nie może liczyć na zrealizowanie. Rozerwanie 8-klasowej szkoły średniej

na dwie części i stworzenie z nich odrębnych jednostek szkolnych bez żadnej między niemi łączności — to źródło wątpliwości i obaw, nad któremi żadną miarą nie podobna przejść z lekkiem sercem do porządku dzienego. Nie dziw tedy, że mnożą się różne pomysły i usiłowania, aby wyłaniające się przeszkody pokonać, grożące niebezpieczeństwo ominąć i jakoś wybrnąć z tego zaczarowanego koła, w które wprowadził niejednego projekt warszawskiej Komisyi pedagogicznej.

Na pierwszą taką trudność natrafiono zaraz przy układaniu planu nauki dla 4-klasowej szkoły średniej. Okazało się bowiem, że materyał naukowy niektórych przedmiotów, jak n. p. łaciny, nie da się pomieścić w 4 klasach szkoły średniej, a rozciągnąć go na ostatnie lata szkoły powszechnej było wręcz niepodobieństwem ze względu na cel tej drugiej. Wobec tego na wniosek Krakowskiej Komisyi referentów, która miała opracować program naukowy dla szkoły średniej nowego typu, zjazd piotrkowski z sierpnia 1918 r. dodał jeszcze jedną klasę i zamiast 4-klasowej stworzył 5-klasową szkołę średnią. Dopuszczając atoli do niej uczniów już po VI kl. szkoły powszechnej, zjazd nauczycielski usunął wprawdzie wspomniane trudności techniczne, ale niestety dokonał tego kosztem głównej zasady projektu warszawskiego, który bez żadnych zastrzeżeń i wyjątków szkołę powszechną uczynił kamieniem węgielnym szkolnictwa polskiego.

Poprawka krakowsko-piotrkowska wcale nie udoskonaliła projektu warszawskiego, przeciwnie cel jego uczyniła jeszcze bardziej niejasnym i zagadkowym. Dlatego tem kategoryczniej musiało wystąpić pytanie, po co właściwie mamy dokonać rozbicia 8-klasowej szkoły średniej.

Prócz trudności i obaw, o których już poprzednio wspomniałem, nie można też pominąć jeszcze innych wad nowego projektu.

I tak naprzykład, w dotychczasowym ustroju szkolnictwa zasadnicza zmiana nauczycieli dokonywa się tylko raz jeden, a mianowicie przy przejściu młodzieży ze szkół ludowych do obecnych szkół średnich. W szkolnictwie natomiast przyszłem, zorganizowanem według projektu Komisyi pedagogicznej, takich zmian zasadniczych mielibyśmy aż dwie: jedną przy przechodzeniu uczniów z niższych klas szkoły powszechnej do klas wyższych, a drugą przy wstępowaniu do szkoły średniej nowego typu.

Nikt chyba nie powinien się łudzić ani na chwilę, żeby każdy

nauczyciel szkoły powszechnej posiadał uzdatnienie do nauczania we wszystkich klasach tejże szkoły. Wprawdzie mówi się o tem, że w przyszłości każdy nauczyciel szkoły powszechnej ma mieć ukończoną szkołę średnią oraz dwu lub trzechletni kurs pedagogiczny, urządzony według wymagań szkół wyższych (wszechnic), ale godzi się zapytać, czy dużo będzie takich absolwentów, którzy po zdaniu egzaminu dojrzałości zamiast pójść na filozofię, medycynę, prawo, teologię lub inżynieryę, obierze sobie instytut pedagogiczny, aby następnie zostać nauczycielem szkoły powszechnej nie tylko w mieście większem, lecz także w miasteczku i na wsi. Niewątpliwie, że pewien odsetek adeptów takich się znajdzie, ale będzie to ilość w każdym razie zbyt mała w stosunku do zapotrzebowania nauczycieli dla szkolnictwa powszechnego. Żebyśmy kiedyś mogli uzyskać dla szkoły powszechnej kilkadziesiąt tysięcy nauczycieli z wykształceniem uniwersyteckiem, wydaje mi się optymizmem zbyt daleko posuniętym. Uchwały, choćby najbardziej stanowcze, nic w tym wypadku nie pomogą: z uchwał bowiem życie niewiele sobie robi i swoim idzie torem. Przyjąć zatem można za pewnik, że będziemy mieli nauczycieli z uzdatnieniem dla niższych klas elementarnych i nauczycieli dla klas wyższych, chyba że z braku tych drugich i gwoli „jednolitości w nauczaniu“ zastępować ich będziemy pierwszymi...

Również błędnem byłoby mniemanie, że każda szkoła powszechna będzie szkołą 7-letnią. W przeważnej części miejscowości będą tylko niższe klasy elementarne. Zupełnych natomiast szkół powszechnych będzie w stosunku do tamtych liczba niewielka, tak że po ukończeniu szkółki miejscowej dziecko musi udać się do miejscowości może nieraz znacznie oddalonej, aby dokończyć reszty swego wykształcenia elementarnego. Ideał, żeby każda wioska posiadała 7-letnią szkołę powszechną i żeby każdy nauczyciel w niej posiadał wykształcenie uniwersyteckie lub równe uniwersyteckiemu, jest ideałem niedoścignionym, jest mrzonką, utopią. Statystyka szkolnictwa ludowego tak zasobnych i bogatych krajów, jak Niemcy i Francya, byłaby dla nas pod tym względem nader pouczająca. Niestety, zamiast oprzeć się na danych konkretnych, wolimy operować liczbami urojonemi i twierdzić — niewiadomo na jakiej podstawie — że 20—25 lat wystarczy, aby dotychczasowy ustrój szkolny zamienić całkowicie na organizacyę

nową i pokryć ziemie polskie gęstą siecią 7-letnich szkół powszechnych, zastępujących niższą szkołę średnią. Równocześnie atoli przyjmujemy do szkół elementarnych w b. Królestwie Kongresowem olbrzymi procent jednostek zupełnie nieukwalifikowanych do zawodu nauczycielskiego. Przemożna część młodych tych nauczycieli i nauczycielek będzie pracowała w szkole lat trzydzieści i więcej. Jakąż wartość wobec tego ma twierdzenie, że po upływie ćwierćwiecza w każdej miejscowości w Polsce będziemy posiadali niższą szkołę średnią (powszechną), a w niej przynajmniej siedmiu nauczycieli z wykształceniem wyższem? Słuchając takich i tym podobnych wywodów, nie można nawet zawołać: risum teneatis amici, bo słuchamy ich z całą powagą i namaszczeniem, bo wierzymy, że tak będzie, bo uchwalamy, że tak być ma, tak być musi, gdyż tak obliczyła i powiedziała Warszawa, a Warszawie przyznaliśmy przywilej na wszelkie koncepta — sensacyjne, które z miną poważną i tajemniczą chętnie powtarzamy.

Przy projektowanym ustroju uczeń będzie zniewolony przynajmniej parę razy zasadniczo zmieniać nauczyciela. Że dla normalnego toku nauki i wychowania zmiana taka jest niepożądaną, a nieraz nawet wręcz szkodliwą, to chyba dwóch zdań pod tym względem być nie może. To też, o ile do środka tego dziś szkoła się ucieka, to czyni to zazwyczaj z nieodzownej konieczności. Jeżeli do tego dodamy jeszcze, że przechodząc z jednego rodzaju szkoły do drugiego, uczeń bardzo często musi zmienić także i miejsce pobytu, to zrozumiemy łatwo, z jakiemi to trudnościami będzie połączone wyższe kształcenie dzieci w demokratycznej Republice polskiej na podstawie rzekomo demokratycznego projektu warszawskiego. Ściślejsze tedy rozważanie projektu tego prowadzi nas do wyników wprost przeciwnych założeniom i intencyom projektodawców. Z jednej bowiem strony zidentyfikowanie celu nauki szkoły powszechnej z celem nauki niższej szkoły średniej zagraża obniżeniem poziomu nauki w klasach wyższych szkoły średniej, z drugiej zaś strony rzekoma jednolitość szkoły powszechnej i dostosowanie jej do jednolitego rozwoju psychologicznego młodzieży między 7 a 14 rokiem życia po głębszem zastanowieniu się okazuje sią fikcyą. W rzeczywistości jednolitość nauczania wystawiona będzie na ryzykowną i nader niebezpieczną próbę.

Ujemne te strony uwypuklą się silniej i wyraziściej, jeśli zwrócimy uwagę jeszcze na rzecz jedną. Do obecnej szkoły średniej

(8- i 7-kl.) nauczyciel przychodzi prawie wyłącznie z uzdatnieniem naukowem. Jakkolwiek wszechnice nasze nie dawały mu należytego wykształcenia fachowego, to przecież twarda rzeczywistość niejednokrotnie zmuszała go do zwracania się w dziedzinę zagadnień dydaktyki ogólnej i do szukania w metodyce danego przedmiotu wskazówek i podstaw dla swej działalności pedagogicznej. Mając potrzebne przygotowanie z pewnej gałęzi umiejętności, mógł z korzyścią przyswajać sobie stosowne zasady dydaktyczne, przenosić je na grunt praktyczny, zapładniać niemi pracę nauczycielską i czynić ją owocną i wydatną. Nie należy wątpić, że w przyszłości pod względem początkowego przygotowania pedagogicznego nauczycieli warunki zmienią się na lepsze, ale z drugiej strony nie należy dopuścić za żadną cenę, aby dla przygotowania naukowego miały wytworzyć się stosunki mniej pomyślne od dotychczasowych. Nie można zatem wymagać od nauczyciela, aby naraz był specyalistą w kilku gałęziach wiedzy — w całej grupie przedmiotów. Żądanie tego rodzaju jest trudne do przeprowadzenia. Zamiast gruntowności w jednym przedmiocie, rozszerzonej i utwierdzonej wiadomościami z pokrewnych dziedzin wiedzy, mielibyśmy w takim razie tylko powierzchowność i płytkość naukową we wszystkich przedmiotach, jakie reprentowałby dany nauczyciel. Przyznać trzeba, że od niebezpieczeństwa tego wolna jest do pewnego stopnia dzisiejsza szkoła średnia, która wymaga od nauczyciela kwalifikacyi z jednego lub co najwyżej z dwóch przedmiotów g ł ó w n y c h. Nadto nie trzeba także zapominać, że ucząc nie tylko w niższych, lecz także i w wyższych klasach szkoły średniej, nauczyciel doznaje ustawicznej podniety i odczuwa ciągłą potrzebę kształcenia się i specyalizowania w swych przedmiotach fachowych, a następnie wyniki tej pracy naukowej — swego kapitału umysłowego, zużytkowuje dla dobra młodzieży.

Inaczej sprawa ta przedstawi się w przyszłości. Podniety takiej braknie nauczycielowi. A nadto, ponieważ na każdą klasę szkoły powszechnej przypadnie po jednym [1]) tylko nauczycielu, przeto każdy z nich musi wykazać się dokładniejszą znajomością kilku przedmiotów nauki. Czyż wobec tego może tu być mowa o należytem opanowaniu materyału naukowego przez nauczyciela, o dostatecznem poznaniu metodyki wielu i różnych przedmiotów

---

[1]) Program naukowy szkoły średniej. Warszawa 1919, str. 150.

i, co za tem idzie, o racyonalnem nauczaniu, zmierzającem do wyrobienia u młodzieży samodzielności myślenia i pracy. Czyż szkoła taka może zastąpić dzisiejszą niższą szkołę średnią, pracującą w warunkach normalnych? Czyż może położyć niewątpliwe i silne podwaliny pod budowę nauki w klasach wyższych? Odpowiedź nie trudna. Wprawdzie nikt nie zaprzeczy, że łączenie przedmiotów pokrewnych jak: matematyki i fizyki, albo języka ojczystego i obcego jest w pewnych razach rzeczą pożądaną, ale powierzanie kilku rozmaitych przedmiotów jednemu nauczycielowi nie można nazwać pomysłem szczęśliwym. Jakkolwiek prąd taki istnieje już nie od dzisiaj w szkolnictwie średniem, to przecież dotąd nie potrafił zdobyć sobie szerszego uznania, bo co właściwem jest i nadaje się do szkoły elementarnej, niekoniecznie musi być dobrem i stosownem w niższej szkole średniej.

Ale i w 5-klasowej szkole średniej nowego typu nie lepsze zapanują stosunki. Wysoki wymiar godzin obowiązkowych dla nauczyciela przy małej liczbie klas pociągnie za sobą również skupienie kilku przedmiotów w jednem ręku. Rzecz łatwo zrozumiała, że ucierpi na tem przedewszystkiem gruntowność nauki, tak wielce pożądana i niezbędna w klasach wyższych; dodajmy do tego jeszcze słabe i niedostateczne przygotowanie młodzieży szkoły powszechnej, niedostrojone do wymagań nauki w szkole średniej, oraz nieznajomość tejże młodzieży ze strony nauczycieli i brak związku w sposobie jej nauczania, a będziemy mieli obraz wewnętrznego stanu przyszłej szkoły średniej i poziomu jej nauki.

Drugim projektem z kolei jest projekt ministeryalny[1]). Pojawił się niedawno, bo dopiero z początkiem b. r. W porównaniu do koncepcyi Komisyi pedagogicznej pomysł ministeryalny zachowuje wprawdzie 8-klasową szkołę średnią, ale dzieli ją na dwie części nierówne: na trzechletnią wspólną podstawę („niższe gimnazyum") i pięcioletnią nadbudową, rozgałęziającą się na cztery oddziały, a mianowicie: 1) oddział matematyczno-przyrodniczy (szkoła realna), 2) oddział humanistyczny bez łaciny, 3) oddział humanistyczny z łaciną (gimnazyum realne), 4) oddział klasyczny (z łaciną i greką). Do każdego oddziału wprowadzono jeden język obcy (nowożytny).

Po ukończeniu zatem kl. III, czyli po 13 latach życia, uczeń

---

[1]) Program naukowy szkoły średniej, Warszawa 1919.

miałby zadecydować o kierunku swych studyów. Ministerstwo uznaje tę decyzyę za wczesną, ale nie widzi innego wyjścia. W gruncie rzeczy atoli kwestya wcześniejszej lub późniejszej decyzyi o kierunku studyów jest rzeczą zupełnie podrzędną. Dziś zagadnienie to rozwiązuje się u młodzieży już w 10. roku życia i, jak praktyka wykazuje, rozwiązanie wypada wcale niezgorzej. Do jakiego typu szkoły uczeń ma uczęszczać, decyduje właściwie wola rodziców, którzy w takich razach opierają się nietylko na uzdolnieniu, spostrzeżonem u syna, lecz biorą także w rachubę swoje stosunki materyalne, przyszłą karyerę dziecka i t. p. Doświadczenie poucza, że te ostatnie względy większą zazwyczaj odgrywają rolę, niż wzgląd pierwszy. Tak samo niewątpliwie będzie i w przyszłości, nawet gdyby chodziło o decyzyę po III kl. gimnazyalnej według projektu ministeryalnego. O wyborze studyów rozstrzygać będą i wówczas faktycznie rodzice, bo trudno wymagać od chłopca, aby okazywał zainteresowanie lub niechęć np. do łaciny, której jeszcze wcale nie miał sposobności zakosztować. Decyzya ucznia, o ile się ujawni, będzie nie tyle wynikiem zamiłowania jego do pewnej grupy przedmiotów nauki, ile raczej wypływać będzie ze znajomości i bliższych stosunków ze starszymi kolegami tego lub owego typu oddziału. Ci bowiem nie omieszkają przedstawić mu swych studyów w sposób właściwy sobie, zwłaszcza, jeśli się zważy zwykły antagonizm młodzieży poszczególnych typów szkolnych, pozostających pod jednym dachem. Temu brakowi decyzyi u dzieci bynajmniej dziwić się nie można. Wszak widzimy go nawet u młodzieży o wiele starszej, bo u absolwentów szkół średnich, którzy przygotowują się do wstąpienia w podwoje uczelni wyższych. I w tym właśnie momencie, tak ważnym w życiu człowieka wykształconego, nie same rozstrzygają tylko zdolności i zamiłowanie do danej gałęzi pracy umysłowej, ale w niemniejszej mierze także względy natury materyalnej. To też długo nieraz młodzi adepci nauki wahają się w wyborze studyów, zanim w końcu zdecydują się na krok stanowczy. I mimo ostatecznego postanowienia zdarza się przecież nierzadko, że niejeden słuchacz zmienia później kierunek naukowy i przerzuca się na inny wydział.

Jakżeż więc możemy wymagać od chłopca 10- lub 13-letniego, aby sam decydował o swym przyszłym losie i do tego decydował trafnie. *Powinniśmy raczej zastanowić się nad tem, jakby uczniowi, który z jakichkolwiek po-*

wodów chciałby obrany typ szkolny zamienić na inny, ułatwić w danym wypadku spełnienie jego pragnienia.

Nie decyzya przeto wczesna o kierunku studyów jest główną wadą projektu ministeryalnego, ale za wczesne kończenie kursu niższego i za wczesne rozpoczynanie kursu wyższego, czyli innemi słowy niefortunnie pociągnięta granica między niższym a wyższym stopniem nauki. Trzynasty rok życia to jeszcze wiek chłopięcy, kiedy uczeń nie jest zdolny do samodzielnego, głębszego myślenia, jakiego wymaga nauka, prowadzona na kursie wyższym. „Uczeń, mając lat trzynaście — mówi znany dyrektor i profesor pedagogii na wszechnicy Jagiell. Dr L. Kulczyński — przechodzić będzie ze szkoły powszechnej do gimnazyum; chwilą przełomową będzie więc 13 rok życia. Ja sądzę, że ten rozdział nie jest psychologicznie uzasadniony bo wiek przełomowy u chłopca, to nie 13, ale 15. rok życia“ [1]).

Nieszczęśliwy swój pomysł Ministerstwo uzasadnia w sposób następujący: „W szkole ośmioklasowej zarówno kurs niższy jak wyższy trwały po cztery lata. Ciągłe jednak wzbogacanie treści wyższego kursu coraz nowemi potrzebami życia, narzucanymi dodatkami, doprowadzało do coraz większego przeładowania go. Rozwój dydaktyki, kładący coraz większy nacisk na odpowiednią metodę nauczania, wykazywał coraz jaśniej zgubność pośpiechu, do którego zmuszały krótkość czasu i mnogość materyału. Pod wpływem tego zaczęto kurs systematyczny nauki rozciągać zwolna ku dołowi tak, że w ostatnich czasach ustalił się mniej więcej podział szkoły ośmioklasowej na trzechletni kurs niższy od 10-ciu do 13-tu lat życia i na pięcioletni kurs wyższy, od 13-tu do 18-tu lat życia. Podział taki, dokonany drogą przystosowania się szkoły do potrzeb oraz do zmieniających się pojęć dydaktycznych, możemy uznać za trafny. Powrót do krótszego, czteroletniego kursu systematycznego byłby rzeczą szkodliwą, uniemożliwiłby dalsze doskonalenie metody nauczania, owszem wepchnąłby nas z powrotem na drogę werbalizmu“ [2]).

Jak widzimy ze słów przytoczonych, Ministerstwo opiera po-

---

[1]) Słowa wypowiedziane z powodu programu Ministeryalnego na posiedzeniu Komisyi referentów w Krakowie 7 marca 1919. Według protokułu.

[2]) Program naukowy szkół średnich. Warszawa 1919 str. 2 — 3.

mysł podziału gimnazyum na 3-letni kurs niższy i 5-letni kurs wyższy na dwóch argumentach: 1) przyjmuje za fakt, że podział taki już się dokonał drogą przystosowania szkoły do potrzeb; 2) utrzymuje, że powrót do krótszego, czteroletniego kursu systematycznego byłby rzeczą szkodliwą, gdyż uniemożliwiłby dalsze doskonalenie metody i utorowałby drogę werbalizmowi.

Warto się zastanowić, czy argumentacya ta posiada jakie dane, któreby naprawdę potwierdzały zdanie Ministerstwa, czy też może w istocie rzecz ma się wręcz przeciwnie.

Otóż rozciągnięcie materyału naukowego z góry ku dołowi faktycznie nastąpiło w zakresie niektórych przedmiotów, ale fakt ten należy policzyć raczej na karb stron ujemnych dzisiejszego szkolnictwa średniego, aniżeli w poczet jego zalet. I tak naprzykład, w 7-letniej szkole realnej, gdzie nie można było przedmiotu takiego jak historya pomieścić w trzech klasach wyższych (V. VI. VII.), z konieczności część materyału przesunięto do klasy IV. Jednakowoż praktyka wykazała, że pragmatyczne traktowanie historyi dla 14-letnich uczniów tejże klasy jest stanowczo za wczesne i za trudne. Fakt ten stwierdzono również w gimnazyach klasycznych i realnych, kiedy przed niespełna dziesięciu laty wprowadzono naukę historyi pragmatycznej także i tu w klasie IV. Przyczyną tego fałszywego kroku dydaktycznego w tym wypadku była geografia. Wprowadzając przedmiot ten do klas wyższych, a nie chcąc na korzyść jego ograniczyć liczby godzin filologii klasycznej, austryackie władze szkolne przeszczepiły plan nauki historyi ze szkoły realnej na grunt gimnazyalny, i w ten sposób skonstatowaną niewłaściwość dydaktyczną w szkole realnej rozszerzyły na wszystkie typy szkolnictwa średniego i upowszechniły. Ten atoli stan rzeczy jest zasadniczą wadą i kardynalnym błędem dotychczasowego programu naukowego. Należy więc dążyć wszelkiemi siłami, aby za żadną cenę błąd ten nie wsiąknął do organizmu przyszłej szkoły polskiej, nawet mimo uznania go przez Ministerstwo za trafny. Da się to tem łatwiej uskutecznić, że przyczyny, które anomalię tę w szkolnictwie wywołały, w przyszłości odpadną, z jednej strony przez zamianę 7-klasowych szkół realnych na 8-klasowe, z drugiej zaś przez ograniczenie dotychczasowej wszechpotęgi języków klasycznych i stworzenie większej liczby typów szkolnych. Tak się ma rzecz z historyą, a jak się przedstawia sprawa z innymi przedmiotami, należy o zdanie zapytać fachowców. W każdym razie

argument pierwszy, oparty na mylnych przesłankach, dowodzi, przynajmniej co do historyi, czegoś wręcz przeciwnego, aniżeli pragną wykazać autorowie projektu ministeryalnego.

Niemniej krytycznie należy także drugi rozważyć argument. Ministerstwo wprowadza 5-letni kurs wyższy, aby — jak powiada — udoskonalić metodę nauczania i nie popaść z powrotem w werbalizm. Wobec tego musimy sobie zadać pytanie, czy ulepszenie metody i związane z nią wolniejsze tempo nauczania pożądane jest więcej w klasach wyższych, czy też niższych. Następnie, w którym z tych dwóch kursów — niższym czy wyższym, werbalizm jest niebezpieczniejszy i szkodliwszy?

Są dwie metody: metoda badania naukowego i metoda nauczania. Między jedną a drugą zachodzi różnica. Pierwszą określa Diesterweg słowami: „to jest tak, a tu jest dowód". Jest to metoda właściwa nauce uniwersyteckiej, gdzie młodzież przychodzi stosownie już przygotowana do korzystania ze studyów wyższych.

Druga natomiast metoda polega na tem, że żądamy od ucznia, aby zastanowił się nad daną kwestyą, a następnie tak pytaniami kierujemy, ewentualnie takich dobieramy środków naukowych, dopóki uczeń własną pracą myślową nie dojdzie do rozwiązania omawianego zagadnienia. Metoda ta uczy myśleć i nadaje się szczególniej do nauczania w niższych klasach szkoły średniej. Każda dziedzina wiedzy, o ile wchodzi w zakres nauki szkolnej, musi ze względów pedagogicznych uledz pewnej metamorfozie. Rzecz jasna, że im dojrzalsi uczniowie, im więcej rozwinięci duchowo, tem bardziej metoda nauczania zbliża się do metody uniwersyteckiej, właściwości dotyczącej gałęzi wiedzy ulegają mniejszym przeobrażeniom, a praca w szybszem postępuje tempie. Przeciwnie, im stopień nauki niższy, tem większe musi być przystosowanie wiedzy do poziomu umysłowego dziecka, a skutkiem tego i zmiany we właściwościach przedmiotu są o wiele znaczniejsze i praca nauczyciela powolniejsza. Czynnik logiczny schodzi wówczas na plan drugi wobec czynnika psychologicznego. Nie dziw zatem, że rezultat nauki w takich razach zależy głównie od metodycznego traktowania przedmiotu, co z natury rzeczy bardzo dużo pochłania czasu. Wynika stąd jasno, że stosowna metoda nauczania i powolne tempo traktowania nauki są przedewszystkiem pożądane i nieodzowne na niższym stopniu nauki. Praca taka opłaci nam się sowicie, bo jeżeli w klasach niższych naukę będziemy prowa-

dzili metodycznie, i jeżeli tutaj zaprawimy i przyzwyczaimy młodzież do zastanawiania się nad treścią lekcyi, czyli, innemi słowy, jeżeli nauczymy młodzież uczyć się, to w klasach wyższych możemy tempo nauki coraz bardziej przyspieszać i zbliżać się do metody uniwersyteckiej, bez żadnej obawy o jakiekolwiek skutki ujemne takiego postępowania. Metoda werbalna nie będzie wtedy tak straszną i niebezpieczną, bo grunt, na jaki padnie, będzie już stosownie użyźniony i uczeń łatwo potrafi ją myślowo przetworzyć. A przeciwnie jeżeli na kursie niższym naukę będziemy traktowali pospiesznie, jeżeli z braku czasu nie przyzwyczaimy ucznia do obserwowania świata i do zastanawiania się nad spostrzeżonemi zjawiskami, jeżeii dopuścimy do bezwzględnie mechanicznego przyswajania wiadomości z książki, a wreszcie, jeżeli elementarnych i najistotniejszych rzeczy nie utrwalimy w pamięci jego przez częste powtarzanie i ćwiczenia praktyczne, to na wyższym kursie nie może być mowy o jakiemkolwiek tempie szybszem: pragmatyczna nauka, oparta na łączeniu przyczyn ze skutkami, będzie nader utrudniona i werbalizm stanie się wówczas naprawdę niebezpieczny i szkodliwy. Niepożądanych tych następstw unikniemy łatwo, jeżeli stopień niższej nauki przedłużymy ku górze stosownie do rozwoju zdolności intelektualnych młodzieży.

Podstawy zatem, na jakich Ministerstwo zamierza dokonać rozdziału szkoły średniej na 3-letni kurs niższy i 5-letni kurs wyższy, są wątłe i kruche, oba argumenty przytoczone przez autorów „Programu“ okazują się mylne i, rozważane krytycznie, nie tylko nie uzasadniają podziału takiego, lecz w przyszłości prowadzą do wyników biegunowo przeciwnych.

A wreszcie rozgałęzienia szkoły średniej po trzeciej klasie na cztery odrębne pięcioletnie oddziały będą pod względem praktycznym niemało sprawiały kłopotu administracyi szkolnej, a zachodzi wątpliwość, czy i dla uczniów także okażą się pożądane. Wszak nie jest wcale wykluczonem, że niektóre z oddziałów będą przepełnione, a do innych natomiast może paru zaledwie zapisze się uczniów. Cóż więc wtedy stanie się z tymi oddziałami próżnymi? Jeżeli je zniesiemy, to w takim razie uczniowi, który później chciałby się przenieść do tego rodzaju typu, zamkniemy zupełnie drogę do sprostowania omyłki, popełnionej przy wyborze studyów. A przecież pomyłki takie, jak już przedtem wspomniałem, będą zjawiskiem zupełnie naturalnem i chyba nie rzadszem, niż dzisiaj. „To rozdzie-

lanie uczniów — mówi Dr. L. Kulczycki — na bifurkały, trifurkały i kwadrifurkały, nie jest to nic nowego, bo te rzeczy są dziś rozpowszechnione w Europie. Pierwsi wprowadzili je u siebie Szwajcarzy i oni mają w tym kierunku najlepsze doświadczenie. A przecież dziś, zakładając szkoły, zakładają je bez bifurkacyi; widocznie więc rzecz ta nie dawała dobrych rezultatów. W Szwecyi też były te rozdzielania. I pokazało się, że uczniowie wybierali głównie te typy, które były w tej chwili modne, a do innych zgłaszało się 1, 2, uczniów. I dlatego w Szwecyi w takim wypadku król ma prawo kasować ten kierunek, który tylko 2 lub 3 uczniów wybrało“ [1]).

Ponieważ projektowana organizacya istnieje tu i ówdzie zagranicą, przeto nasuwa się przy tej sposobności jedna uwaga. Jeżeli ustrój szkolny, zaprowadzony już gdzieindziej, pragniemy przeszczepić na grunt ojczysty, to powinniśmy przedewszystkiem zbadać, jakie w danym kraju poczyniono z nim doświadczenia, jakie dostrzeżono w nim wady, a jakie zalety, a nadto należałoby się pierwej przekonać, czy ewetualnie te ostatnie nadawałyby się do stosunków naszych.

Jak widzimy z tego wszystkiego, projekt ministeryalny wykazuje same strony ujemne, a żadnych dodatnich, któreby go stawiały wyżej od dzisiejszych, jednolitych typów szkolnych.

Trzecim projektem organizacyi szkolnictwa jest projekt Rady przy Ministerstwie [2]). W gruncie rzeczy jest to projekt Komisyi pedagogicznej z tą różnicą, że obok 7-letniej szkoły powszechnej stwarza nowy rodzaj szkół — „szkoły wydziałowe, które stanowić będą uzupełnienie wyższego typu przeciętnych szkół powszechnych, a zarazem pośrednie ogniwo między niemi a szkołą średnią“. Pierwszy typ szkoły Rada przeznaczy dla miast i miasteczek, drugi zaś, niżej zorganizowany, dla gmin wiejskich. Te dzieci, którym rodzice będą chcieli dać wyższe wykształcenie ogólne, po ukończeniu w swojej wsi czterech lat nauki przejdą do znajdującej się w ich gminie szkoły wydziałowej. Pragnący iść jeszcze wyżej mogą po ukończeniu trzeciej klasy wydziałowej przejść do pierwszej klasy pięcioklasowej szkoły średniej.

Ciekawą rzeczą w proponowanej organizacyi jest to, że dziecko,

---

[1]) Słowa wyjęte ze wspomnianego protokułu.

[2]) Program naukowy szkoły średniej. Warszawa 1919 str. 148 — 151.

uczęszczające do miejskiej szkoły powszechnej o siedmiu nauczycielach, będzie mogło po sześciu latach nauki przejść do szkoły średniej. Natomiast dziecko, uczęszczające do niżej zorganizowanej szkoły wiejskiej, będzie się mogło dostać do szkoły średniej dopiero po siedmiu latach nauki, z których cztery spędzi w szkole powszechnej swej rodzinnej wioski, a trzy w szkole wydziałowej gminnej [1]). Ten rok różnicy w czasie przygotowania do szkoły średniej — zdaniem Rady — powinien zrównoważyć braki, jakie wynikają z niższej organizacyi szkoły wiejskiej. Rzecz naturalna, że program i materyał naukowy sześciu klas miejskiej szkoły powszechnej odpowiadać będzie programowi i materyałowi naukowemu siedmiu klas szkół wiejskich. W przeciwnym bowiem razie zatrzymywanie o jeden rok dłużej w szkole wydziałowej ucznia, który chciałby się dostać do szkoły średniej, żadnej nie miałoby racyi. Trudno atoli przytem nie zauważyć, że nie sam tylko program i czas decyduje o dostatecznem przygotowaniu młodzieży, ale w nie mniejszej mierze miarodajną jest tu również praca i zdolność nauczyciela. Przypuszczać należy, że w przyszłości nie tylko w mieście, lecz także i na wsi będziemy mieli nauczycieli dzielnych i pracowitych. Zbytecznem więc jest zmuszanie dziecka wiejskiego do niepotrzebnej straty jednego roku w życiu jego. Jest to bezwątpienia błąd tak poważny, że żadną miarą na organizacyę taką zgodzić się niepodobna. Nadmieniłem już przedtem, że projekt Rady nie jest w rzeczy samej niczem innem, jak projektem warszawskiej Komisyi pedag. z dodatkiem pomysłu o wiejskiej szkole wydziałowej. Jeżeli do ujemnych stron projektu Komisyi pedagogicznej dołączymy co dopiero wykazaną i to wcale niemałą nową wadę, to spostrzeżemy, że szkolnictwo polskie, zbudowane według tego trzeciego projektu skombinowanego, bynajmniej w różowem nie przedstawiałoby się świetle.

Jak widzimy z tego, żaden z omówionych trzech projektów nie posiada zalet szczególniejszych, w żadnym nie widać gruntownego uzasadnienia i jasnego celu, któryby nam zapewniał korzyści większe od tych, jakie przy dzisiejszym osiągnąć możemy ustroju; natomiast każdy z nich zawiera wyraźne

---

[1]) Gmina w Królestwie kongresowem obejmuje wsi kilka.

i niezaprzeczone wady, oraz budzi poważne wątpliwości pod względem zastosowania praktycznego.

Wobec tego nasuwa się pytanie, czy do stworzenia dobrej szkoły polskiej nie moglibyśmy dojść w sposób inny, daleko prostszy i pewniejszy. Sposób taki da się łatwo znaleźć. Wystarczy tylko w tym celu wziąść za podstawę obecną organizacyę szkolną, jaką posiadamy w byłym zaborze austryackim. Trzeba jednakże w organizacyi tej pousuwać pewne znane niedomagania, braki i wady, częścią narzucone nam z zewnątrz, częścią wytworzone przez nas samych w czasie niedoli, poczynić uzupełnienia i ulepszenia, przystosować szkołę dotychczasową do nowych warunków bytu, tchnąć w nią świeże życie i owiać ją prawdziwym duchem obywatelskim, patrzącym w przyszłość dalszą. Słowem, trzeba dzisiejsze szkolnictwo zmodernizować.

W tym celu należałoby przyjąć następujące wskazania:

1. Wychowanie przedszkolne, które ma usprawiedliwić przyjmowanie dzieci do szkoły dopiero po siedmiu latach życia, jest zbyt kosztowne i możliwe do przeprowadzenia jedynie w miastach i w miasteczkach, ale po wsiach natrafi na poważne trudności i pozostanie niewykonalne. O tem, czy dziecko ma pójść do szkoły po szóstym, czy po siódmym roku życia, decydować powinni przedewszystkiem rodzice.

2. Mamy dotąd szkołę ludową (pospolitą) i szkołę wydziałową. Należy obie te jednostki, odpowiednio zreformowane, objąć wspólną nazwą szkoły powszechnej i jako taką zakładać o różnej liczbie klas stosownie do zaludnienia danej miejscowości. Miasta, miasteczka oraz wsie większe powinny posiadać zupełną 8-klasową szkołę powszechną.

3. Program naukowy wyższych klas szkoły powszechnej należy zbliżyć i do pewnego stopnia uzgodnić z programem nauki w niższej szkole średniej tak, aby uczeń wyższych klas szkoły powszechnej mógł bez wielkich trudności przechodzić do odpowiedniej klasy niższej szkoły średniej w przeważnej liczbie typów. Mówię „zbliżyć i do pewnego stopnia uzgodnić“, ale nie utożsamić, bo program naukowy klas wyższych szkoły powszechnej ze względu na cel tejże szkoły powinien zachować cechy, cokolwiek odmienne od programu niż-

szej szkoły średniej. Głównym bowiem celem pierwszej jest szczepienie i pielęgnowanie wyższej oświaty elementarnej pośród młodzieży, która w przyszłości stanowić będzie szerokie warstwy ludowe, celem zaś drugiej jest przygotowanie ucznia do dalszych studyów.

Przytem atoli musimy pamiętać, że społeczeństwo nasze wogóle jest biedne. Jeżeli rodzice, mieszkający na wsi lub w małem mieście, gdzie niema szkoły średniej, pragną dać któremu z dzieci wykształcenie wyższe, to czynią to zazwyczaj z wielkim uszczerbkiem dla reszty rodzeństwa. Zjawisko takie nie jest bynajmniej wyjątkiem i dotyczy głównie urzędników i nauczycieli po miasteczkach, niższych funkcyonaryuszy, robotników i wieśniaków małorolnych.

Młodzież z tych sfer, za wcześnie oderwana od ogniska rodzinnego, umieszczona w większych miastach na tak zwanych „stancyach", wprawdzie tanich, ale zwykle dla zdrowia zabójczych, źle odżywiana, a przytem wystawiona na zgubne wpływy moralne, niejednokrotnie marnieje lub ginie, zanim skończy studya i dojdzie do upragnionego celu. Przyszła tedy organizacya szkolnictwa polskiego powinna właśnie objąć te liczne zastępy młodzieży biedniejszej, chętnej do pracy, a nierzadko bardzo uzdolnionej. Będzie to dla rodziców niemałą ulgą materyalną, a dla chłopca znacznem ułatwieniem w studyach, jeżeli będzie mógł uczęszczać do wyższych klas szkoły powszechnej w miejscu rodzinnem i po jej ukończeniu, względnie wcześniej, o ile mu na to pozwolą warunki, będzie miał prawo przejść do odpowiedniej klasy szkoły średniej w mieście większem. Nie należy przeoczać także i tej korzyści, że dziecko, rozłączone o kilka lat później z domem rodzicielskim, będzie fizycznie i moralnie odporniejsze na te wszystkie niedostatki i niebezpieczeństwa, jakie je czekają w większem środowisku miejskiem.

4. Obok ośmioklasowej szkoły powszechnej należy zaprowadzić ośmioklasową szkołę średnią o różnych typach, do których w zasadzie miałaby prawo uczęszczać młodzież w wieku od 10—18 lat życia. Program czterech klas niższych powinien być jednakowy we wszystkich typach i obejmować pewien całokształt wiedzy elementarnej, jako podstawę dla nauki w klasach wyższych. Wyjątek pod tym względem stanowiłaby łacina, której naukę rozpoczynałaby się w kl. IV. gimnazyum realnego i klasycznego (w tem drugiem greką w kl. V). Rzecz jasna, że uczeń ze szkoły powszechnej, chcący przejść do gimnazyum jednego lub drugiego,

musiałby to uczynić ze względu na łacinę najpóźniej po VII klasie szkoły powszechnej.

5. Stosownie do przełomu psychologicznego, jaki następuje u chłopców mniej więcej koło 15 lat życia, należy rozróżnienie między niższym a wyższym stopniem nauki w zasadzie przeprowadzić w klasie V.

Nie potrzebuję dodawać, że młodzież po ukończeniu niższej szkoły średniej i młodzież z 8-letnią szkołą powszechną powinna posiadać równe prawa, czy to wstępując do średnich szkół zawodowych, czy to zwracając się wprost do życia praktycznego.

Dla lepszego zilustrowania różnicy, jaka zachodzi między projektem warszawskiej Komisyi pedagogicznej łącznie z pomysłem Rady przy Ministerstwie w. r. i o. p., a projektem wyżej przedstawionym, podam przykład następujący: Pod Krakowem mamy dwie miejscowości: Rudawę i większe od niej Krzeszowice. Miejscowości te oddalone są od Krakowa o 18 i 24 km. Według projektu warszawskiego uczeń, ukończywszy cztery niższe klasy szkoły powszechnej w Rudawie, musi udać się do Krzeszowic dla dalszego kształcenia się w szkole wydziałowej, dopiero po ukończeniu trzech klas tejże szkoły wstępuje do pierwszej klasy 5-letniej szkoły średniej w Krakowie. Tutaj spotyka się z rówieśnikami, może nawet mniej zdolnymi od niego, którzy już są w klasie II, albowiem mieszkając w Krakowie, uczęszczali do szkoły powszechnej, która już po szóstej klasie daje uczniowi prawo przejścia do pierwszej klasy szkoły średniej. Tymczasem uczeń z Rudawy, jako mieszkaniec wsi, musi uczęszczać do szkoły wydziałowej w Krzeszowicach i zupełnie niepotrzebnie tracić rok jeden, gdyż szkoła wydziałowa, jako niżej zorganizowana, nie posiada tego przywileju, co szkoła powszechna w Krakowie.

Natomiast według projektu, nakreślonego w artykule niniejszym, uczeń z Rudawy, mając lat dziesięć, przechodzi wprost ze swej szkoły wiejskiej do pierwszej klasy 8-letniej szkoły średniej w Krakowie. Unika zatem drogi okrężnej na Krzeszowice, a przytem dwukrotnej zmiany miejsca i nauczycieli i nie jest zmuszony do niepowetowanej straty roku jednego. W lepszem jeszcze położeniu znajdzie się młodzież z Krzeszowic, bo posiadając u siebie 8-klasową szkołę powszechną, może bądź to po ukończeniu czterech klas tejże szkoły wstąpić do pierwszej klasy szkoły średniej *wszelkiego typu*, bądź to po siódmej klasie przejść do czwar-

tej klasy szkoły średniej z łaciną, bądź też po ukończeniu całej szkoły powszechnej kontynuować swe studya w piątej kl. szkoły średniej bez łaciny (typ realny).

Na podstawie przykładu powyższego czytelnik łatwo oceni, która z tych dwu koncepcyi jest prostsza, praktyczniejsza i więcej demokratyczna.

Ze względu, że w przyszłości będziemy mieli kilka typów szkół średnich, nasuwa się pytanie, jaki typ zakładać w miastach prowincyonalnych, gdzie będzie tylko jedna szkoła średnia. Otóż w tym wypadku byłoby rzeczą pożądaną tworzenie szkoły bifurkacyjnej, która po trzeciej klasie dzieliłaby się na dwa oddziały: bez łaciny i z łaciną, a po czwartej klasie następowałyby dalsze rozgałęzienia. Zróżnienie zaś na stopień niższy i wyższy pozostałoby w zasadzie w klasie piątej, podobnie jak we wszystkich zresztą szkołach średnich. W razie otwierania drugiej szkoły średniej w temże samem mieście uwzględnilibyśmy w niej tylko typ jeden i to ten, któryby wykazywał najliczniejszą frekwencyę w zakładzie bifurkacyjnym. Wszystkie zatem następne szkoły średnie w tejże miejscowości przedstawiałyby wyłącznie typy oddzielne i całkowite.

W ramach nakreślonej organizacyi, opartej na dotychczasowych podstawach, moglibyśmy powoli, krok za krokiem, w miarę sił i możności, rozwijać i udoskonalać szkolnictwo nasze, nie narażając go wcale na to niebezpieczeństwo i ryzyko, jakie budzą projekty nowe. Znamy zalety i wady obecnego ustroju szkoły, łatwo nam tedy przyjdzie pierwsze utwierdzać, a drugie usuwać. W proponowanych zaś organizacyach trudno się dopatrzeć stron dodatnich, a ujemnych poważnie trzeba się obawiać.

Błażej Sławomirski.

Stanisław Moniuszko.

(W setną rocznicę urodzin).

Do żołnierki i gospodarstwa ziemskiego rodzili się od niepamiętnych czasów męscy członkowie rodu Moniuszków, który pod koniec wieku osiemnastego z ziemi Bielskiej na Litwę się przeniósł i w okolicach Mińska osiadł. Zaledwie kilku z nich zabłąkało się w ciągu wielu lat na skromne urzędy, ale żaden z nich nie dopuścił do głowy myśli, aby zamiast na kollatorskiem miejscu w farnym kościele zasiąść na ławie organisty. Byłożby to niesłychane ubliżenie pieczęci rodowej, tak wielkie jej poniżenie, że snadnie w pąsach stanęłyby wszystkie Moniuszków duszyczki, które i przed majestatem bożym pamiętały, że nigdy taki, co miał Krzywdę w sygnecie, nie był komedyantem ani dławidudą. Zdarzali się muzycy w szlacheckich rodzinach polskich, ale miano już czas zapomnieć o Wacławie z Szamotuł, o Mikołaju Zieleńskim w tej epoce, kiedy dobrze urodzonemu wolno było muzyką tylko się bawić, jak Ogińskiemu lub Lubomirskiej, ale nigdy dla niej lub z niej żyć. Nie było w Polsce rodów muzycznych, nawet pośród mieszczaństwa, nie było takich generacyi organistów, jak Bachowie, lub bodaj takich dwóch pokoleń muzycznych, jak Mozartowie, gdzie ojciec tak umiejętnie umiał pielęgnować talent syna, lub Beethovenowie z ich dziedzictwem talentu muzycznego.

Jakby na przekór często na Zachodzie spotykanym zjawiskom, najwięksi muzycy polscy nie pochodzili z muzycznych rodów, ani nawet nie należeli za młodu do zorganizowanych pod względem ducha i stylu artystycznego szkół muzycznych. Każdy z nich więcej daleko zawdzięczał sobie, niż kompozytorowie innych narodów, wychowani na podłożu długotrwałej kultury muzycznej, wciągnięci trady-

cyami artystycznemi do łańcucha sztuki narodowej. W wieku, poprzedzającym wiek Chopina i Moniuszki, produkcya muzyczna Polski spadła bardzo nisko w porównaniu z wiekami poprzednimi. Nie było tu tylu i tak zróżniczkowanych grup kompozytorskich jak w Niemczech, we Włoszech lub we Francyi. Rósł tylko w zieloności potężny pień swoistej nawskróś muzyki ludowej polskiej. Na nim to, nie na artystycznych tradycyach muzycznej szkoły polskiej zakwitł geniusz Chopina, jego to soki wykarmiły przedziwny talent Moniuszki.

Atmosfera domu Czesława i Elżbiety z Madżarskich Moniuszków, którym dnia 5 maja 1819 roku urodził się jedyny syn, Stanisław, nie była artystyczną. Dworek w Ubielu, jeśli muzyką rozbrzmiewał, to był to albo niewyszkolony śpiew pana Czesława, który wspominał nim swoje czasy napoleońskich wojen, albo dyletancka gra pani Elżbiety na klawikordzie. Repertuar tej muzyki domowej nie był obfity, ale na ukształtowanie się talentu Moniuszki wywarł wpływ niemały. Przykominkową gawędą szlachecką, pełną animuszu lub serdeczności, karmił się młody umysł Moniuszki w równym stopniu jak melodyami idącemi od chat białorusińskich, tym prawdziwym śpiewem natury słowiańskiej, którego echa brzmią nam z dumkowych pieśni Moniuszki.

Zbyt młodym był jeszcze Moniuszko, kiedy znalazł się w Warszawie (miał wtedy lat ośm zaledwie), ażeby mógł odnieść poważniejszą korzyść z pobytu w mieście, mającem operę, dobre koncerta i kilku szanownych kompozytorów. Po abecadle muzycznem, którego nauczyła go matka, zaczął naukę u Augusta Freyera, dobrego organisty i kompozytora. Niemiec-rutynista, zaprawił go wcześnie Freyer do niemieckiej szkoły akademickiej. Potem przez lat kilka zdany był Moniuszko sobie samemu. Mieszkał w Mińsku, zdala od ruchu muzycznego stolicy, zdala od młodzieńczych starć estetycznych, dojrzewając od wnętrza, własnego serca tylko słuchając. W osiemnastym roku, kiedy zdecydowano się ostatecznie, że zostanie muzykiem, wyjechał do Berlina, ażeby tam zostać uczniem Rungenhagena, który od kilku lat był dyrygentem tamtejszej akademii śpiewackiej. W szkole tej, mającej swoje wielkie zalety pod względem metody nauki, ale zbyt natarczywie narzucającej uczniowi gotowe formułki, zdobył Moniuszko pewien zasób środków techniki kompozytorskiej, który sam Rungenhangen zalecał w świadectwie wystawionem przy odejściu od niego Moniuszki, dalej roz-

wijać. Co ważniejsze jednak, nie zatracił Moniuszko w Berlinie własnej nuty lirycznej i pod naciskiem dzieł Beethovena, Schuberta, Mendelsohna, Loewego z jednej strony, a z drugiej Rossini'ego, Meyerbeera i Spontini'ego, żeby tych przedewszystkiem wymienić, uchronił to, co było największym skarbem jego talentu, jego polskość. Tę jego narodowość w muzyce stwierdził pierwszy recenzent niemiecki pieśni Moniuszki, jakie ukazały się w Berlinie w r. 1838. Recenzentem tym był Fink.

Od pieśni tych, od odkrycia przez Moniuszkę dla celów muzyki skarbów naszej wielkiej poezyi romantycznej, gdyż były to teksty Mickiewicza, których Moniuszko użył w pieśniach, zaczyna się właściwa historya pieśni polskich. Otworzył ją dziewiętnastoletni kompozytor kompozycyami o zupełnie wybitnej indywidualności, które miały prawo do pojawienia się w świecie po pieśniach Schuberta. Środki ich artystyczne stały na wysokości zdobyczy tych czasów, były użyte celowo w stosunku do poezyi. A polskość ich inwencyi melodyjnej czyż może ulegać wątpliwości? Jeżeli mamy przytępiony na wyczucie jej zmysł, wystarczy nam porównanie pieśni Moniuszki ze śpiewami operowymi epigona szkoły włoskiej, Krupińskiego, lub z pieśniami Elsnera, Kaszewskiego, starszego Kratzera, Szymanowskiej lub Nowakowskiego, których muzyka nietylko nie ma ducha polskości, ale nawet naskórkiem nie przypomina plemienia, z jakiego wyszli wspomniani kompozytorowie starej szkoły muzycznej.

Moniuszko był w swoich pieśniach pod każdym względem nowoczesnym artystą. Pieśni jego były wiernem przetworzeniem muzycznem poezyi, ich nastroju, ich treści i wszelkich szczegółów opisowych.

Pierwsze dzieło wyznaczyło kierunek twórczości Moniuszki podobnie jak wiekopomne warjacye Chopina na temat z mozartowskiego Don Juana. Chopin predestynowany był do muzyki absolutnej, tej, co niezależnie od żadnych czynników zewnętrznych spełnia zadanie artystyczne.

Talent Moniuszki okazał się zupełnie skrystalizowanym w tych pierwszych pieśniach, świadczących, że należy on do rodzaju przeciwnego Chopinowi, mianowicie opisowo-dramatycznego. Twórcza podnieta przychodziła u Moniuszki z zewnątrz, nie

z jego własnego upojenia dyonizyjskiego. Drogą wczucia się w poezyę pieśni lub libretta operowego, w zupełnej objektywizacyi natchnienia wobec obranego tematu dokonywał się jego proces twórczy.

Jako pieśniarz właściwie nie rozwijał się Moniuszko. Od pierwszego dzieła stanął pewnie na drodze swego przeznaczenia artystycznego, a kiedy w kilka lat później wystąpił z zamiarem obdarzenia narodu tem, czego kulturze naszej istotnie brakowało, był zaiste jedynym, co miał prawo to zrobić. Darem tym był skromnie nazwany Śpiewnik domowy. Ani w przybliżeniu nie możemy dzisiaj ocenić, jakie wrażenie musiał wywołać w Polsce ten zbiór 18 pieśni, zaczętych Świtezianką, zakończony Dziadem i babą. Zdarzenie to da się porównać jedynie z wystąpieniem Mickiewicza lub Chopina. Znaczenie jego podnosiły jeszcze specyalne okoliczności. Autorem tych pieśni był młody, skromny organista przy kościele św. Jana w Wilnie, mały, utykający na nogę, nieco nawet zezowaty człeczyna, o którym wszyscy wiedzieli, że za rubla biega po lekcyach fortepianu i z chórem kościelnym śpiewa w Ostrej bramie. Nie śniło się nawet wtedy nikomu w Polsce, ażeby pieśni mogły być tak trudne, czy to w śpiewie czy w akompaniamencie, jak niektóre z tych pierwszych Moniuszki, a zwłaszcza ta Świtezianka, w której fortepian ilustrował każdą myśl poety dźwiękiem, niezmiernie plastyczne robiącym wrażenie. Zabłądzić miał śpiewnik Moniuszki do domów polskich, ale na przyjęcie tego gościa nie wszystko w nich było przygotowane. Sam Kraszewski, chwaląc w recenzyi pieśni Moniuszki, zalecał kompozytorowi, żeby liczył się z warunkami naszej muzycznej kultury, żeby nie utrudniał przystępu do sztuki swojej zbyt wysokiemi wymaganiami technicznemi. Zewsząd zaczęto nawoływać Moniuszkę do prostoty. Nie wyrażono pełnej radości i wdzięczności za jego pieśni, nie zachęcono do wyższych wzlotów.

Już pierwszy Śpiewnik Moniuszki był wspaniałym wyrazem talentu melodyjnego młodego kompozytora. Melodyą, która płynęła mu z duszy, bez wysiłku umiał Moniuszko oddać z całą dokładnością istotę poezyi. Pomysły jego były ogromnie różnorodne, obejmowały całą skalę uczuć ludzkich i każde z nich określały z wielką intensywnością i prawdą wyrazu muzycznego. Śmiało możemy powiedzieć, że podobnie uniwersalnego pieśniarza nie było w historyi muzyki dziewiętnastego wieku. Natura Moniuszki była bogatszą, niż tych kilku wielkich mistrzów pieśni niemieckich, których utwory są ewan-

gelią tej formy w muzyce nowoczesnej. Nie we wszystkich może pieśniach osiągnął Moniuszko ideał formy pieśni tak, jak Schubert w swoich, ale obok równego mu w doskonałości muzycznej inwencyi liryzmu i zmysłu do malarstwa dźwiękowego miał Moniuszko rasowy animusz, którego drobno-mieszczańskie natury Schuberta czy Schumanna zupełnie nie posiadały, miał jeszcze większą od nich rozlewność uczucia, miał conajmniej równą im siłę ekspresyi pod względem erotycznym i tę specyficznie naszą, staropolsko-szlachecką jowialność, ten rys temperamentu, tak różny od pojęcia „bonhomie“ i Gemütlichkeit.

Talent muzyczny Moniuszki wyniósł korzyści nawet z jego uczuciowości synowskiej i ojcowskiej; bez tych wybitnych cech jego sentymentu nie tak wielką, jak jest w istocie, byłaby wartość szeregu pieśni na uczuciach tych opartych.

Nie miał tylko Moniuszko tak subtelnej poetyczności muzycznych pomysłów, jak Schumann, jego wiotkości dźwiękowej, ale niższość talentu jego pod tym względem ginie w blaskach piękna inwencyi, które wysnuł jego cudowny talent.

Przy całej, jakby się to mogło wydawać, odruchowości tworzenia Moniuszki, proces jego komponowania był poparty pełną świadomością artystyczną i krytycyzmem. Po za czysto fachowymi czynnikami składni muzycznej, których strona konstrukcyjna świadczy o logice i zmyśle architektonicznym w kompozycyi, po za poprawnością w każdym szczególe, jak krytycznym był Moniuszko w komponowaniu, świadczy w stopniu wyższym charakter jego muzyki, raz mającej niewątpiwie rodzime cechy, drugi raz przybierającej charakter kosmopolityczny, lub wyraźnie włoski, a to zależnie od ducha i rodzaju poezyi. Po pewnych elementach melodyjnych dokładnie poznajemy tendencye Moniuszki pod tym względem.

Siła oryginalności talentu Moniuszki była niewyczerpana.

W dwustu siedemdziesięciu sześciu pieśniach, które napisał, wydając je w sześciu śpiewnikach i oddzielnie, tak że dzisiaj twórczość jego zebrana jest w dwunastu śpiewnikach, niema śladu epigonizmu, poza pewnemi cechami wspólnemi balladom Moniuszki i balladom Loewego, pod których wpływem powstały.

Z podziwem patrzymy na talent ten, co ustrzegł się naśladownictwa zarówno Niemców jak Włochów, co nie wyprzedzając bynajmniej swojej epoki, z materyału jaki mu dały jego czasy stworzył swój własny język liryczny, po którego każdej frazie poznać Moniu-

szkę i tylko Moniuszkę. Admiracya nasza stanie na wyższym stopniu jeszcze, kiedy uprzytomnimy sobie, że Moniuszko tworzył w każdym kierunku skrępowany w tej twórczości. Wzgląd na stan kultury muzycznej w Polsce nie dodawał sił do górniejszych porywów, a do ziemi wprost przykuwała twarda dola polskiego muzyka. W tem nieustannem zmaganiu się ducha między ideałami artystycznemi a imperatywami codziennego życia tworzył Moniuszko. A w tych 276 pieśniach dość jest brylantów, dość pereł, ażeby złożyć z nich dyadem nieśmiertelnej zasługi największego pieśniarza polskiego.

Jeszcze więcej zachwytu wymaga od nas twórczość Moniuszki na polu opery. Pieśniarzem był odrazu doskonałym, jako operzysta zaczął od najskromniejszych prób, ażeby do arcydzieł doprowadzić w twórczości oper. Zdala od stałego teatru, zdala od stołecznego ruchu muzycznego, jakby przez ironję losu siedząc na przeciwnym dramatowi muzycznemu biegunie muzycznym, bo na ławie organisty, pomimo najbardziej przeciwnych warunków artystycznych pisał Moniuszko pod jakimś nakazem nieprzepartym małe wodewile i operetki, zrazu zupełnie prymitywne, później nieco bardziej wykańczane. Pierwsza z nich, do tekstu Aleksandra Fredry, „Nocleg w Apeninach“, ukazała się we Lwowie w roku 1841 anonimowo. Muzyka ta w porównaniu z pieśniami nie była godną nosić nazwiska Moniuszki; niczem jeszcze indywidualność jego się nie zaznaczyła. Słabe promienie jej przedzierają się z następnych operetek, jak z „Ideału“ i „Karmaniola“, w których Moniuszko zdawał się zapowiadać talent w rodzaju niemieckiego Lortzinga. Ale już „Loterya“ z roku 1843 odsłoniła właściwe pokłady inwencyi Moniuszki w kierunku melodyi, a dojrzewająca sprawność techniczna pozwoliła mu niejeden numer partytury uczynić interesującym pod względem technicznego przeprowadzenia.

W pracach tych, które w wiekopomnem znaczeniu Moniuszki dla muzyki polskiej nie miały i nie mają większego znaczenia, przeszedł talent twórcy „Halki“ konieczną szkołę praktyczną, taką, jaka także poprzedziła w twórczości Wagnera okres dzieł jego dojrzałych, zaczęty operą historyczną p. t. Rienzi. Dwudziestosiedmioletni kompozytor wileński zamierzył czyn, przerastający znacznie wszystko, co dotychczas napisał. Libretto Halki, dane przez Wolskiego, otworzyło przed Moniuszką nowe horyzonty muzycznego wyrazu. Moniuszko dotychczas nie zetknął się z tematem tak róż-

norodnym, nie miał ani razu możności wykazać, czy motywom tragicznym sprosta jego natchnienie muzyczne, nigdy liryka jego nie dochodziła do tego stopnia napięcia, jak tego wymagało to świetne libretto, a wreszcie przyszło mu tu być ludowym nie w imieniu własnem, ale w imieniu samego ludu. Znamy tę Halkę na pamięć, każda jej nuta brzmi nam w duszy, wiemy więc dobrze, że zadaniom tym sprostał talent Moniuszki w sposób, który całości nadaje prawo do tytułu arcydzieła. Wyróżnia się Halka niezmiernie pośród dzieł pisanych około r. 1847 w Europie tem szczególnie, że w epoce opery historycznej i romantycznej pierwsza tyle wniosła narodowych pierwiastków muzycznych do muzyki dramatycznej, że nazwano ją operą narodową. Etniczne cechy muzyki Halki zrobiły z niej dzieło sercu naszemu tak drogie. Moniuszko sam stworzył muzykę ludu góralskiego, występującego w Halce. Nie miał do tej części dzieła swojego żadnych materyałów autentycznych. Folklor polski nie dotarł wtedy jeszcze do muzyki Podhala, ale mimo to wyobraźnia muzyczna mieszkańca Litwy skonstruowała dla scen ludowych trzeciego aktu muzykę, która stylem swoim i duchem jakby wyrosła z ziemi kosodrzewiny, ma jakiś janosikowy wigor i tupet. Moniuszko nie pracował w dusznej, zamkniętej pracowni artystycznej; miał do umysłu jego przystęp każdy motyw z życia wzięty. By już typem impresyonisty w granicach środków, jakimi operował. Ot naprzykład rwący początek mazura w Halce zawdzięcza powstanie swoje opowiadaniu starego napoleońskiego żołnierza, który przed Moniuszką malował atak na jakąś trudną pozycyę. Długo nie udawały się wysiłki atakujących, mówił wiarus, w pół drogi gasła odwaga, aż Napoleon kazał zagrać orkiestrze siarczystą pobudkę. Zagrali, mówił wiarus, jakieś setnie bębniste „tra-da-ra-ta-ta-ta-ta“ i pozycya została zdobyta! A Moniuszko w takt wspomnienia napisał mazura w Halce, który tyle ma ognia, że śpiącego w letargu mógłby obudzić. Wszystkiem, co składa się na całość wspaniałej muzyki w Halce, cudami melodyjności, intensywnością harmonii, obrazowością muzyczną barwnej orkiestry, patosem dźwiękowym zespołów, charakterystyką każdej sceny, wszystkiem, tak bardzo oryginalnem w muzycznej idei, zdobyła Halka prawo do zaliczenia jej do szeregu najbardziej wyróżniających się dzieł okresu czasu od r. 1847, w którym powstała, aż do r. 1858, w którym na scenie warszawskiej ukazała się w redakcyi definitywnej. Dzisiaj, po siedem-

dziesięciu przeszło latach jej kraśnego życia, przekonujemy się dowodnie, jaką była jej wartość w czasie powstania. Nie ustępowała ona ani operom Meyerbeera, ani Verdi'ego.

Tytuł do nieśmiertelności na polu polskiej muzyki dramatycznej zdobył Moniuszko nie samą tylko Halką, która organistę wileńskiego wprowadziła na stanowisko jednego z dyrygentów opery warszawskiej. Romantyczno-liryczna komedya muzyczna Moniuszki, według libretta Chęcińskiego, „Straszny dwór", była arcydziełem, które jakością pomysłów dorównało Halce, a przynosząc czynniki tamtej operze obce, tem świetniej zaświadczyło o ogromie talentu Moniuszki. Tu atmosfera sielanki szlacheckiej, której tak miłym wyrazem było „Verbum nobile" z r. 1861, znacznie się pogłębiła, a struny liryczne rozśpiewały się jeszcze serdeczniej i jeszcze cieplej niż w „Hrabinie" z r. 1860. Nareszcie i element rycerski, już tak szczęśliwie zaznaczony w „Rokiczanie", wystąpił tu w całej wspaniałości, w tej spiżowej i nieporównaną tężyzną sarmacką grzmiącej pierwszej scenie prologu opery, gdzie w obozie z opancerzonych piersi husarskich wyrywa się śpiew, godny potomków tych, co szli pod Grunwald, Cecorę i Wiedeń. Odezwała się tu w Moniuszce krew rycerskich pokoleń. Nieporównaną jest muzyczna charakterystyka bohaterów opery, Zbigniewa i Stefana; melodye, te przepiękne w sobie melodye ich śpiewów, odsłaniają temperamenty ich w sposób tak wymowny, że genialnym można go nazwać. Moniuszko nie potrzebował uciekać się do tremola kotłów lub jakiejś opryskliwej figury fagotu, ażeby oddać psychikę bohatera. Nie przy pomocy po za nim leżących środków, ale sam osobiście, jak w dramacie mówionym, występuje bohater opery, a melodya jego śpiewu charakteryzuje go najdobitniej. Kto melodyą wokalną tyle mógł powiedzieć, co Moniuszko, temu reforma dramatu muzycznego Wagnera nie była konieczną do twórczości receptą. I bez ulegania nowym hasłom zdołał Moniuszko dać nam te skarby, jakie natura złożyła w jego genialnej duszy.

Choćby nic więcej nie był Moniuszko napisał ponad pieśni, Halkę i Straszny dwór, musielibyśmy ustawić mu w panteonie polskim pomnik w najbliższem sąsiedztwie Chopina, jako drugiemu naszemu bohaterowi tonów. Ale w nieprzeliczonych zasług jego wieńcu artysty jaśnieją liście, symbolizujące i wspaniałe „Sonety krymskie" i „Widma" o upiornej miejscami muzyce, mitologiczną kantatę „Mildę" i dwie ostatnie opery: egzotyczną „Parię", w któ-

rej opera polska nawiązała do stylu wielkiej opery francuskiej, oraz skromną „Beatę“, a wkońcu kompozycye orkiestralne, jak mistrzowska Bajka, lub kościelne, ducha bożego pełne msze i śpiewne modlitwy.

Nasz, z krwi krew i kość z kości nasz, polski i tak piękny jak Polska, geniusz Moniuszki będzie zawsze wielbiony i kochany...

Zdzisław Jachimecki.

Notatki.

W dniu 7 maja święciliśmy wielką uroczystość: otwarcie Uniwersytetu Poznańskiego. Miało ono podwójne znaczenie. Stwierdzało odżycie kolebki naszego narodu w zjednoczenie z całością Rzeczpospolitej. Postawiło zarazem podwaliny pod nowe ognisko kultury i cywilizacyi polskiej na przestrzeniach, zdawało się, dla niej już straconych. Potężnym wysiłkiem świadomej woli były zabór pruski odrodził swe tradycye Akademii Lubrańskiego i przodowania nauce polskiej w połowie XIX wieku. Przodownictwo to, zamienione później pod grozą konieczności dziejowej w obronę podstaw bytu narodowego i ziemi w ciągłej zaciętej walce na świecenie przykładem w dziedzinie organizacyi sił społecznych i gospodarczych, oby odżyło na nowo. Spodziewamy się po nowej wszechnicy wykształcenia licznych sił do pracy nad wszechstronną budową i utrwaleniem bytu Rzeczpospolitej, sił wnoszących do naszego życia te wszystkie zalety, które tak cenimy w Poznańczykach. Dajcie nam ich jaknajwięcej, dajcie rychło, a pewni jesteśmy, że zręby Rzeczypospolitej znajdą w nich jedną z najdzielniejszych swych podpór. *Quod felix, faustum, fortunatumque sit!*

*
* *

Zmienione warunki istnienia polskiego narodu wymagają wzmożonej pracy nietylko organizacyjnej, lecz i intelektualnej, na którejby się mogła oprzeć pierwsza. Dla czynu trzeba przygotowania, myśli przewodniej, świadomości celu i środków. Chwila obecna, chwila chaosu wymaga wzmożonego wysiłku samodzielnej, twórczej myśli ze strony społeczeństwa polskiego. Z radością też przy-

witać należy inicyatywę, którą dała w tym kierunku świeżo powstała we Lwowie Spółka wydawnicza pism politycznych, społecznych, ekonomicznych i wojskowych „Nowe Drogi“. W prospekcie Spółki, pod którym podpisane są najlepsze siły umysłowe Polski z Janem Kasprowiczem na czele, tak tłomaczy ona swe powstanie i swe zamiary:

„Wojna światowa otworzyła epokę głębokich przemian w ludzkości, wyłaniając wartości nowe w zakresie prawd moralnych, stosunków międzynarodowych, politycznych, militarnych, społecznych i ekonomicznych.

Wszystkie one płyną szerokiem korytem rzeczywistości: jedne już oczywiste i dostępne dla wszystkich, drugie jeszcze ukryte w złożonym splocie zjawisk i przez to trudne do wydobycia na jaw.

W Polsce bezprzykładna w dziejach wojna skupiła powszechną uwagę, przykuła ją na całe lata do chwili bieżącej, wzbudzając głęboką troskę o niepewną przyszłość. Ten fakt ma szczególnie doniosłe znaczenie. Myśl inteligencyi polskiej została oderwaną od jednostronnego zapatrzenia się w przeszłość, od niechęci do zagadnień aktualnych i skierowała się ku wielkim i nowym wypadkom porywającej teraźniejszości.

Jednakże na obszarze Polski pod okupacyą austro-niemiecką, myśl narodowa niezależna od woli okupantów, nie mogła się wypowiadać szczerze i swobodnie, tak czujną była ręka cenzury na każde drgnienie polskiej duszy, tak zresztą głęboką była aberracya życia politycznego zwłaszcza w Galicyi. Literatura polityczna ukryła się tu właśnie w skromnej postaci niewystarczających wydawnictw legalnych („Rok Polski“) i nielegalnych, jak „Chwila“. Na ogół panowało głuche milczenie. Ten brak możności wypowiadania się skupił i pogłębił myśl narodową, zaostrzył zdolność spostrzegawczą, wzmógł cichą pracę organizacyjną przez co pomimo braku drukowanego słowa ogromna większość utrzymała się na jednej od początku linii politycznej walki z państwami centralnemi.

W obecnych warunkach wolności słowa ciąży na nas obowiązek przerwania milczenia, usprawiedliwienia go, wypowiedzenia przemyślanych poglądów na najważniejsze fakty świeżej przeszłości i na główne zagadnienie doby obecnej.

Dlatego grono ludzi, którzy wspólnie przeżyli wojnę światową, myśląc, czując i działając jednakowo, postanowiło dać inicyatywę do poruszenia w szeregu wydawnictw najważniejszych

zagadnień, które ludzkość wynosi z wojny światowej, a do których rozwiązania w zakresie własnym jesteśmy w Polsce powołani.

W programie naszym leży dążenie do ujmowania całości poruszonych spraw, aby zyskać ogólny pogląd na wypadki i ludzi. Opierając się na przeżytem doświadczeniu wielkiej wojny, którą uważamy za zwrotny moment w dziejach i przestając z teraźniejszością, w której czynny bierzemy udział, będziemy usiłowali przeniknąć i zrozumieć istotę wypadków rozgrywających się wokoło nas i wydobyć z nich rzeczy trwałe, aby tem pewniej na nich budować coraz to lepszy gmach odrodzonej Rzeczypospolitej.

W taki sposób pragniemy w wydawnictwach naszych zachować ruch życia i interes aktualności.

Przedstawić rozwój myśli narodowej i rolę głównych działaczy w Polsce i poza jej granicami w czasie wielkiej wojny, przemyśleć gruntownie projekty reform społecznych, pogłębić reformę szkoły i wychowania młodzieży, ustalić problem organizacyi skarbowej i administracyjnej w państwie, opracować program wojskowy na wypadek przyszłej wojny wyczerpania, wreszcie zwrócić uwagę społeczeństwa na wielkie zagadnienia polityki naszej w stosunku do państw ościennych, oto jakie myśli chcemy oddać w służbę Rzeczypospolitej ku Jej utrwaleniu.

We wszystkich wydawanych pismach kierować się będziemy nie względami na partyę lub klasę, lecz na dobro Państwa, jako całości, które pragniemy oprzeć na odrodzeniu moralnem i powszechnej świadomości narodowej oraz na szerokiej podstawie demokratycznej.

Rzeczpospolita ma przed sobą wielkie i trudne obowiązki w nowym ustroju świata. Mamy głęboką wiarę, że czeka Ją świetna przyszłość, ku której zdążać winna nowemi drogami, a nie utartym szlakiem dni minionych. Tej przyszłości oddajmy myśl czujną, jasną, niezależną, intencyę bezinteresowną służenia Ojczyźnie, w poczuciu pełnej odpowiedzialności za słowa, tak samo, jak razem z wieloma przyjaciółmi politycznymi w Polsce czasu wojny, w najcięższych warunkach przyjęliśmy pełną odpowiedzialność za czyny, które kraj doprowadziły do zwycięstwa pod hasłem idei moralnej, jaka z tej wojny wyrosła, a uchroniły od klęski, jaka czekała go na zdobywczym torze państw centralnych".

Sekretaryat Spółki stanowią we Lwowie: prof. Stefan Dąbrowski (Długosza 14) i prof. Ludwik Bykowski (Bonifratrów 14),

w Krakowie: prof. St. Stroński (Kremerowska 10) i prof. R. Rybarski („Rok polski“). Jako jedno z pierwszych wydawnictw ukazała się już praca St. Szczepanowskiego: „Widoki i drogi gospodarczego rozwoju ziem Polski“. Szereg innych jest zapowiedzianych.

Niechżeż to tak pożądane poczynanie rozwinie się jak najlepiej, a owoce tak rozumnie pojętej pracy nie każą na się długo czekać!

* * *

Nasze lewicowe kierunki polityczne cechowała zawsze skłonność do pewnego absolutyzmu wbrew głoszonemu przez nie demokratyzmowi. Nie jest to zjawisko odosobnione w dziejach rozwoju myśli politycznej XIX i XX wieku. Socyaldemokracya niemiecka doskonale się godziła z ideą „das soziale Kaisertum“; Lassalle i Bismarck nie o wiele od siebie w tym kierunku odbiegali. Na tej też podstawie wyrosła idea „dyktatury proletaryatu“, wytworzona przez syndykalizm francuski, doprowadzona do absurdu przez bolszewizm rosyjski.

Polski socyalizm podczas wojny niejednokrotnie dał wyraz podobnym tendencyom. Usprawiedliwiał gorąco przekroczenie na własną rękę w dniu 6 sierpnia 1914 r. granicy Kongresówki przez Piłsudskiego, dążył wyraźnie w jesieni 1918 r. do dyktatury, proklamował ją nawet przez lubelski republiki ludowej. Coraz silniej ta skłonność zaczęła występować z chwilą, gdy okazało się, że lewica jest w Sejmie w mniejszości, zaczęto głosić otwarcie o bankructwie parlamentaryzmu, tęsknić po cichu — *risum teneatis* — do oświeconego, maskowanego czy jawnego, absolutyzmu. Obecnie dążność ta na nowo wystąpiła w rządowym projekcie konstytucyi polskiej.

Według tego projektu „naczelnik“ państwa ma być wybieranym przez plebiscyt. Co więcej w ręku jego ma się koncentrować także i władza wojskowa; ma również wpływ przeważny na utworzenie „Straży Prawa“, której zadaniem byłaby kontrola nad ustawodawczą działalnością Sejmu. Jednem słowem ów naczelnik państwa miałby ten sam prawie zakres władzy, co car samodzierżec rosyjski. Brak tylko dożywotności, względnie dziedziczności władzy, ale i pod tym względem nie są przewidziane żadne środki ostrożności. Przeciwnie, daje mu się wprost w rękę pokusę, by

opierając się na wojsku, którem dowodzi, sięgnął i po dożywotność i po dziedziczność, a w najlepszym razie, by uzależniał od siebie w zupełności i plebiscyt i skład sejmu i kierunek uchwał tegoż. Ze względu na analogie z czasami Napoleona III. we Francyi, możnaby ten kierunek polityczny nazwać samorodnym *cezaryzmem polskim.* A analogie te wskazują równocześnie, jak podobna konstrukcya zwierzchniej władzy państwowej jest niebezpieczną, dostarczają żywych przykładów, jak łatwo staje się ona podatnem narzędziem dla absolutystycznych ambicyi głowy państwa, godzących wprost w esencyonalne podstawy demokratycznego ustroju państwa. Czyż nie są znane i późniejsze próby w tym kierunku we Francyi, choćby generała Boulanger? Czyż chcemy doprowadzić Polskę do oligarchicznego cesarstwa, jak to uczynił Napoleon III., a przez nie do katastrofy?

Lecz rozporządzamy współczesnemi przykładami. W Stanach Zjednoczonych podobny system jest ograniczony przez wprowadzenie specyalnego kollegium wyborców, którzy wybierają w ten sposób pośrednio prezydenta; wyborcy ci są zarazem przedstawicielami poszczególnych stanów i głosują w ich imieniu. System ten jest bardzo krytykowany i daje się utrzymać tylko dzięki wielkiemu wyrobieniu politycznemu społeczeństwa, bądź co bądź, w przeważnej części anglosaksońskiego. Lecz już w państwach Południowej Ameryki do jakichże rezultatów on doprowadził? Do ciągłych *pronunciamento,* rzezi, wzajemnych walk ambitnych generałów, odwołujących się do plebiscytów narodu, a w razie wątpliwości do jedynego w tych razach argumentu, miecza w krwi bratniej zbroczonego. Godnosć prezydenta staje się *de facto* dożywotnią, nieraz nawet w dwóch generacyach dziedziczną (vide Meksyk!). Administracya publiczna staje się w tych warunkach dla sprawujących ją źródłem dochodów, środkiem napychania kieszeni, wobec grożącej ciągle zmiany osobowej władzy zwierzchniej, korupcya przeniknąć musi do szpiku kości społeczeństw.

Czyż do tego poziomu państewek południowo-amerykańskich mamy sprowadzić Polskę?

Przenigdy nie! Nie chcemy *cezara,* nie chcemy oświeconego absolutyzmu, chcemy zdrowego rozwoju demokratycznego konstytucyonalizmu, gwarantującego trwałość państwowego bytu, równomierny i stopniowy jego rozwój, wprowadzającego na wierzch

maximum sił społecznych narodu i dającego pole do ich kształcenia się, wyrabiania i podnoszenia!

Nie podzielamy bynajmniej zdania tych stronnictw, które, z przykrością to należy stwierdzić, by uchronić masy przed radykalizmem prądów lewicowych, chcą je przelicytować w radykalizmie i w tym celu w swych projektach konstytucyi przyjmują plebiscyt przy wyborze prezydenta państwa. Sprawa to tak zasadnicza, że nie może być przy niej żadnych, zresztą bezcelowych nawet i taktycznie, ustępstw. Wszak tyczy się ona podstaw istnienia państwa, jego funkcyonowania przez długie czasy. Wszak kłaść mamy trwałe zręby pod budowę Rzeczpospolitej, pod pomyślność Ojczyzny. Czyż mogą one opierać się na chwilowych względach i konjunkturach politycznych?

* * *

Gdy w swoim czasie gabinet Świerzyńskiego porozumiewał się z kołami lewicowemi co do wytworzenia wspólnego rządu i usunięcia Rady Regencyjnej, naraz ku ogólnemu zdumieniu układy już zupełnie dojrzałe i sfinalizowane prysły, ogłoszona odezwa gabinetu zawisła w powietrzu, a równocześnie powstał rząd lubelski republiki ludowej. W jaki sposób się to mogło stać? — pytano ogólnie i nie znajdowano odpowiedzi. Wtajemniczeni tylko opowiadali po cichu, na ucho, że do zerwania owych układów i utworzenia się osobnego rządu lubelskiego przyczyniła się trzydniowa bytność p. M. Bobrzyńskiego w Warszawie w owym właśnie czasie. Lecz to tylko są *on dit... on dit...*

W ostatnich czasach dawne żywioły enkaenickie zaczęły się gorączkowo reorganizować. Mówią, że ma to być „jutrzejsza Polska“. Na łamach „Czasu“ krakowskiego rozpoczęła się już walka podjazdowa. Na początek chodzi o pozyskanie Paderewskiego, którego jeszcze tak niedawno z politycznego trójnogu tegoż „Czasu traktowano z jakimże niesmacznym przekąsem, lub wprost z domorosłą soczystą obelżywością. Odrzyna się go zatem silnie od tła Komitetu Paryskiego, na który się równocześnie nakłada najczarniejsze barwy. Na dalszym planie występuje dążność do zestrojenia Paderewskiego z Piłsudskim, skupienia ich w jedną całość i do pozyskania ich obydwu, wziętych razem. Z chwilą gdy od jednostek tych zależeć będzie skład rządu, nie od ogółu wy-

bieralnych reprezentantów narodu w Sejmie, pozyskanie dzierżycieli władzy zwierzchniej przedstawia szczególne korzyści. Na tem opierają się nadzieje zakończenia obecnego przymusowego odosobnienia i postu, dorwania się z powrotem do tak upragnionej władzy...

Lecz to tylko są *on dit... on dit...*

* * *

Podstawą wysunięcia się na pierwsze miejsce ogólnych zagadnień życia narodowego — sprawy reformy rolnej była ogólna opinia społeczeństwa, zwracająca się przeciw większej własności. Powodami tego nieprzychylnego nastroju było z jednej strony niewłaściwe często stanowisko polityczne właścicieli ziemskich wobec państw centralnych, z drugiej zaś strony nadmierne wyzyskiwanie przez nich — prawie że ogólne — gospodarczej konjunktury wojennej ze szkodą innych warstw społecznych. Gdyby nie owe momenty, można powiedzieć, reforma rolna nigdyby w obecnej swej formie nie wypłynęła, nie znajdowałaby bowiem poparcia uczuciowego w szerokich sferach, które jej nadaje siłę i przekonanie o własnej słuszności.

Tej podstawy inicyatorowie reformy nie umieli wykorzystać. Przez skrajne sformułowanie wzbudzili we wszystkich bezpośrednio nieinteresowanych wątpliwości, czy jest ta reforma pożądaną z punktu widzenia społecznego. Zaczęto się przekonywać, że nie chodzi tu o interes społeczny, tylko o interes jednej klasy, że nie opiera się na postulatach słuszności, lecz na egoizmie jednej warstwy, na argumentach jedynie jej przewagi liczebnej. Z tą chwilą straciła reforma rolna najwalniejszy swój atut: poparcie uczuciowe szerokich, nieinteresowanych warstw społecznych. Może teraz przejść lub nie, wykonaną w zupełności nigdy nie będzie, gdyż szeroka opinia w najgłębszych swych uczuciach uważa ją już za nie opartą na postulatach słuszności i sprawiedliwości, nie polegającą na momentach ideowych. Nie uważa jej za reformę społeczną, lecz za interes materyalny w formie ustawodawczej.

* * *

Zachodnie granice Polski są już ostatecznie rozstrzygnięte. Niezupełnie wypadły one podług naszych życzeń, bo trzymają się

ściśle granic etnograficznych. Jeśli nasze życzenia niezupełnie zostały uwzględnione, mamy to do zawdzięczenia tym, którzy umożliwili Lloyd-George'owi wygłoszenie twierdzenia, iż nie będę poświęcał entete'y i jej żołnierzy dla nowej wojny o Polskę, która wcale nie wzięła czynnego udziału po stronie koalicyi przeciw Niemcom. Wiemy dobrze, komu ten fakt zawdzięczamy: wszak to owa socyalistyczno-konserwatywna klika NKN-u i Rady Regencyjnej nie dopuszczała do utworzenia wojska polskiego w Rosyi, przezywała zdrajcami Bajończyków i oddziały tworzące się we Francyi, tworzyła legiony z całą forsą, agitowała za niemi, obrzucała błotem, denuncyowała ich przeciwników, kazała legionistom przysięgać na wierność państwom centralnym, utrzymywała ich w ryzie posłuszeństwa tym mocarstwom, gdy się spostrzegli, że za złą sprawę walczą, stawiała przed nimi złudę honoru „polskiego żołnierza".

Lecz nie czas obecnie na rekryminacye. I tak to, cośmy uzyskali dzięki pracy t. zw. pasywistów i zdrowemu instynktowi narodu, który się nie dał pociągnąć na lep omamień aktywistycznych, stanowi dużo, tak dużo, żeśmy o niem przed wojną nawet nie marzyli. Daje nam silne państwo i podstawy do jego rozwoju na przyszłość.

Na jedną jednak okoliczność należy zwrócić uwagę. Szereg przyszłych prowincyj polskich ma być poddanych plebiscytowi: Olsztyńskie, powiaty trzy Prus zachodnich i Górny Śląsk. Czy Polska myśli już o przygotowaniu tam plebiscytu? Czy ma tam ludzi? Czy świadomie będzie próbować wytworzyć tam warunki pomyślne dla korzystnego wyniku plebiscytu na naszą rzecz? To jest obecnie najważniejszy problem naszej polityki, w rozwiązaniu którego muszą współdziałać z największym możliwym nakładem sił tak rząd, jak społeczeństwo polskie.

Sprawozdania.

G a b r y e l K o r b u t: *Literatura polska od początków do powstania styczniowego.* Książka podręczna informacyjna dla studyujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego. — Tom II. od wieku XVIII do r. 1820. — Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. Dra J. Mianowskiego, Warszawa 1918. 8-o, str. 2 nlb, 518, X.

W niedługim stosunkowo czasie po tomie pierwszym otrzymaliśmy drugi tom pomnikowego dzieła Korbuta. Od pierwszego mniejszy o str. 200, tom ten obejmuje wiek 18. i pierwsze dwudziestolecie wieku 19. po Brodzińskiego włącznie. Konstrukcya dzieła ta sama, co i w tomie poprzednim. Na zasadzie chronologicznej wyodrębniono przedwszystkiem w materyale dwie grupy: czasy saskie i okres pseudoklasyczny, w okresie tym zaś czasy stanisławowskie i dobę porozbiorową. To są kategorye w dzieleniu historyi literatury ogólnie przyjęte, bezsporne.

W obrębie każdej grupy podział rzeczowy: gatunkami piśmiennictwa — osobno prozaicy, osobno poeci, razem także zgrupowany dramat, razem powieść, czasopiśmiennictwo, publicystyka, w osobne też rozdziały ujęto ogniska ruchu literackiego, rozniecone czy to jednostkowym czy pospólnym wysiłkiem, jak Puławy, Komisya Edukacyjna, Tow. Przyjaciół Nauk, Szubrawców, Iksów. Zaś wewnątrz każdej grupy pisarze w porządku mniej więcej chronologicznym. Bibliografie wydań i opracowań poprzedzane stale lakoniczną biografią względnie charakterystyką pisarza czy okresu. W tych drobniejszych podziałach nie można było oczywiście uniknąć wtórnego włączania pisarzów, objętych inną grupą, bo twórczość ich nie ograniczała się do jednego gatunku literackiego. Ale na to niema już rady; zaś o szczegóły, czy n. p. powieści nie należałoby raczej umieścić w dziale prozy niż poezyi, czy Naruszewicz należy więcej do poetów czy do prozaików, spierać się może, komu na tem zależy.

Szybkie tempo wydawnictwa jest nam rękojmią, że niedługo będziemy musieli czekać na tom trzeci, a z nim na całość tego dzieła olbrzymiego znaczenia. Dopiero mając tę całość przed sobą, a zwłaszcza wysłuchawszy zapowiedzianego w 3. t. uzasadnienia typu wydawnictwa, omówić będzie można ostatecznie zalety i uchybienia konstrukcyjne, w pełni zdać sobie sprawę z uzyskanej w tem

dziele wartości. Na razie można tylko z radosną ulgą przywitać ukazanie się dalszego tomu.

O nic nie łatwiej niż o zarzuty w ocenie wszelkiej bibljografii. Z góry nawet można przewidzieć ich charakter. Niema chyba na świecie bibljografii, którejby nie można słusznie zarzucić dwu wad: niekompletności i uchybień w układzie. Zarzuty te jednak zbyt są łatwe, żeby przygnieść mogły bibljografów bez ratunku.

Co do niekompletności, to wynika ona z nieuniknionej niedoskonałości dzieł człowieczych. Leży przecież poza granicą ludzkiej możności — nie przeoczyć ani jednej pozycyi z przebogatego dorobku przeszłości; po najsumienniejszej zwózce zostaje na łanie kłos niejeden. Natrafić potem na taki kłos luźny może lada przechodzień przez lada przypadek; daleko stąd wszakże do uprawnień urągania żeńcowi. Powtóre bibljograf jest zawsze w tem fatalnem położeniu, że nie może dać „ostatniego wyrazu"; zanim się książka wydrukuje, już przybyło materyału do uzupełnienia jej treści, nieustannie się rozrastającej.

Odnośnie do układu zaś trzeba pamiętać, że wszelka segregacya, wszelki podział organizmu żywego, choć jest wymagalnikiem ludzkiego umysłu, jest w założeniu swem czemś względnem, więc niedoskonałem; polegać może jedynie na umowie, rezygnuje z charakteru kategorycznego. Literatura jest tworem organicznie jednolitym, jak jednolite jest życie narodu, z którego wykwita, — byłoby więc urojeniem przyrodniczo-mechanicznego poglądu na rzecz mniemanie, że w jakimkolwiek schemacie zmieści się ona bez reszty. Ten podział ma te braki, inny będzie mieć inne, taka już kolej rzeczy.

Że podział Korbuta, acz nie idealny, odpowiada zadaniu, t. zn. że wprowadza w gąszcz zjawisk literackich ład i przejrzystość, przekona się, kto (nie sięgając do indeksów) porówna łatwość wyszukania jakiejś pozycyi u niego i np. w Finkla Bibliografii hist. pol. A przecież właśnie owa łatwość zorjentowania się i przejrzystość stanowi kryteryum każdego podziału.

Wogóle, gdy się słyszało i czytało te (nieliczne!) głosy krytyczne, jakie się odezwały z powodu I. tomu omawianego dzieła, przychodziły uparcie na pamięć słowa K. Estreichera ze wstępu do jego „Bibljografii": „Tym, którym sprawia rozkosz wyszukiwanie ułomności, a nie pomni są odniesionego pożytku, na nicby się zdało przypomnieć, że publikacya ta... jest pracą gruntownego namysłu, że zatem wszelkie wady, opuszczenia, przekręcania... wypłynęły nie z pospiechu, nie z niedbalstwa, lecz z natury samego przedmiotu". Tę trudną „naturę przedmiotu" dobrze trzeba wobec Korbuta mieć na uwadze.

Mówię to wszystko nie w sensie panegirycznym, nie aby umykać przed wypowiedzeniem własnego szacującego sądu. Ale odkładając ten sąd ostateczny do czasu, gdy się pojawi całość, chciałem tu przeciwstawić się zjawiającemu się sporadycznie w Polsce zbyt pochopnemu lekceważeniu pracy bibljograficznej. Sąd o bibljografii wywodzić się powinien przedewszystkiem z szacunku dla pracy bezinteresownej, wprost ascetycznej. U korzeni żadnej innej pracy nie leży tyle, co u bibljograficznej, powściągnięć ambicyi, wyrzeczeń się doraźnej sławy i renty, jakąby przyniosły bardziej poczytne i rozgłośniejsze badania, tamtą przeprowadzone energią. Miał dużo słuszności Renan, mówiąc gdzieś o heroizmie bibljografa. Bibljograf — jak oracz, rozorywa ugor, sprawia ziemię, nie zajrząc tym, co siać będą na niej ziarno dorodne i zbierać plon.

Heroizm pracy Korbuta uwydatni się jeszcze bardziej, gdy zauważymy, że

„Literatura polska“ jest jego wyłącznem dziełem, dziełem jednostki. Bibljografia Finkla, która wciąż się tu ciśnie pod pióro dla porównania, powstawała w przeciągu 30 lat przy udziale wytężonym całego grona współpracowników, wspierana subwencyami; Korbut dokonał dzieło sam, w ciągu innej, absorbującej pracy zawodowej. Tem bardziej zdumiewa ten monument nieczęstej istotnie w Polsce pracowitości.

Pokolenie, które zaczynać będzie teraz pracę naukową nad dziejami literatury polskiej, wnet nie potrafi zrozumieć, jak można pracować bez Korbuta, równie jak my dziś nie zdajemy sobie sprawy z ogromu pracy przygotowawczej tych, co pracowali bez Estreichera.

St. P.

Od Redakcyi.

Wzywamy wszystkich Czytelników, którzy zalegają z prenumeratą, by jak najrychlej wyrównali zaległości, w przeciwnym razie, poza wstrzymaniem wysyłki Pisma, w inny jeszcze sposób będziemy zmuszeni upominać się o należne nam sumy.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Roman Rybarski.**
DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, UL. MIKOŁAJSKA 13.